WIEŚ TWORZĄCA
Nr 4(103)/2020 * ROK XVIII
Dodatek Literacki do „Powiatu Słupskiego”

Hraszka

Hraszka zerwała się ze stajni, przybiegła na drogę, a kiedy odjeżdżała karetka, po raz pierwszy widziałem, jak wspięła się na tylnych nogach i wydała z siebie przeraźliwy, płaczący dźwięk

Ta historia wydarzyła się trzy razy.

Najpierw opowiedziała ją ona.

Na początku mi się nie podobało. Pusto i nieprzyjemnie. Żłób oszczerbiony. Drzwi podparte kołkiem. Codziennie wieczorem przychodził kary z krótką grzywą i pierwsze co robił, to zatykał sianem dziury w oknach. I dobrze, bo wiało. Często to siano wywiewało. W końcu wstawił przezroczyste szybki. Strachliwy był taki na początku, potem się oswoił. Czasami pojawiała się siwka z długą grzywą i mój kary stawał się wtedy weselszy. Nucił pod nosem weselsze melodie i energiczniej odgarniał obornik. Ale to było rzadko. Nie powiem, lubiłam ją, bo pachniała takim ciepłem. Ale najcieplej pachniał młody, z jasnymi oczami i taką grzywą, która z czasem stawała się dłuższa. Wyczesywał, czyścił kopyta, klepał, gładził, mówił - wszystko było jak pieszczota. Wszystko tu poukładał. Zrobiło się przytulnie. Dobry był. Bardzo dobry. A te nasze wyprawy. Kary nawet nie wiedział, gdzie myśmy galopowali. Któregoś dnia, już po zejściu z pastwiska, młody spieszył się gdzieś, nawet trąciłam go łbem, żeby już biegł, bo tylko szarpie mi grzywę.

A potem rozległ się głuchy dźwięk.

Fot. pixabay.com

Czekałam na niego przy drodze, skąd zabrał go migający samochód. Długo czekałam, potem pomyślałam, że poczekam na niego w stajni, bo zawsze tam przychodził wieczorem i karmił cukierkami z ręki, ale tym razem w stajni też go nie było i do tej pory go nie ma. Jeszcze nie przyszedł.

A dziś rano wpadli do mnie kary i siwka, roześmiani oboje i założyli mi na pysk coś białego. Myślałam, że to obrok, ale pachniało inaczej. A rżeli przy tym, jak my z ogierem Tobagiem, kiedy poczuliśmy zapach mięty z łąk nad głębokim stawem. Tylko młodego nie było, ale może wróci. Zawsze wracał.

A potem mówił on.

Nie lubię koni. Po prostu się ich boję. Ta ich wielgachność. Zawsze mają oczy wyżej niż ja. I to dudnienie jak biegną. Więc kiedy Adam, kolega jeszcze z podstawówki, który wpadał do nas czasem z Aśką, swoją żoną, tego marcowego wieczoru przy butelce bułgarskiego koniaku zapytał:

- Słuchaj, wziąłbyś konia na przechowanie? - odpowiedziałem tym, co mi pierwsze przyszło do głowy:

- Konia? Coś ty?! Z konia spadł?!

Ale on ciągnął dalej:

- Nie, no poważnie mówię. Naszą Hraszkę.

- No a wy, co z wami? - zapytałem najtrzeźwiej jak się dało.

Aśka odwróciła głowę.

- Wyjeżdżamy.

Wszyscy wyjeżdżali. Prawie wszyscy, bo tacy jak ja zostawali. Pierniki, nieudacznicy, tchórze, pierdoły ruskie - litania przymiotników mojej żony Karoliny była długa. Mieszkaliśmy u moich rodziców - ja, ona i jej panieński syn. Zaakceptowałem tego niebieskookiego łebka od razu, bo bardzo lubię dzieci, pewnie dlatego pracuję w fabryce cukierków. Niestety, on mnie nie polubił. Ciągle czekał na tatę.

Żona najczęściej jednak mówiła do mnie mięczak - brzmiało to jak rytmicznie powtarzany akord na klawiaturze nawet nie pianina, tylko jakiegoś taniego keyboardu z

wyprzedaży. I dotyczyło nie tylko mojego charakteru. Zaczęło się po drugiej wizycie Karoliny w szpitalu na łyżeczkowaniu, bo dwa razy umarły nasze dzieci. Nie chcieliśmy wiedzieć, synek czy córeczka. Mówiłem sobie wtedy, że Bóg niczego mi nie zabrał, tylko nic mi nie dał. Karolina też ciężko to znosiła, brała psychotropy, roztyła się. Jednak jej było łatwiej, bo miała Bartka i w ogóle kobiety mają jakiś pierwiastek samoodradzania się, jakąś boską moc i Karolina zajęła się samorozwojem. U mnie przejawiało się to spadkiem sił witalnych i to tych u samego źródła. Moje źródełko zaczęło bić coraz słabiej, zresztą Karolina zawsze dawała mi margines czasowy - 10 minut, bo tyle trwał jej kurs angielskiego - „English with song" i kiedy zbliżała się kończąca fraza speak witah us ja słyszałem end with us - i zrezygnowany opadałem na ręczniczek do jogi, przygotowany zawczasu przez żonę, gdyby jednak coś się udało.

A potem pojawił się koń. Hraszka. Duża, siwa i w kropeczki. Dokładnie koń śląski. Zamieszkała w ruderze. Tak Karolina nazywała dom, który dostaliśmy po dziadkach. Remontowałem go odkąd się poznaliśmy, ale zawsze czegoś brakowało: czasu, pieniędzy i ochoty, bo właściwie dla kogo. Zacząłem jeździć do Hraszki, a jak już byłem na wsi, to zacząłem małymi krokami doprowadzać do ładu dom i obejście. Z czasem dołączył do mnie Bartek i dosłownie zakochał się w Hraszcze, a ona w nim. Rozumieli się jak łyse konie. Cudowny czas.

Aż..., aż... latem ubiegłego roku Bartek zginął w wypadku. Wyjeżdżał rowerem na drogę z podwórka ·i samochód go potrącił. Hraszka zerwała się ze stajni, przybiegła na drogę, a kiedy odjeżdżała karetka, po raz pierwszy widziałem, jak wspięła się na tylnych nogach i wydała z siebie przeraźliwy, płaczący dźwięk. Prze kolejne dni stała przy drodze, bez jedzenia, tylko potrząsała grzywą, rozgarniała kopytami trawę, wąchała miejsce, gdzie leżał Bartek i rżała takim głębokim rżeniem, jakby chciała powiedzieć: „Jestem tu, a ty gdzie jesteś?". Po czterech dniach wróciła od stajni. Szła wolno, raz po raz odwracając łeb w stronę drogi. Nie mogłem na to patrzeć.

Karolina wyjechała do miasta. Znowu lekarze, psychotropy i tym razem Bóg, którego chwyciła się jak brzytwy.

A ja znowu myślałem, że Bóg mi niczego nie zabrał. Nie mógł. Bo nic mi nie dał. Nawet Hraszka była od Adama.

Aż 13 marca, w piątek moja żona wysiadła z jedynego jeżdżącego w dni robocze autobusu i z walizką pełną antybakteryjnych chusteczek, przyszła do naszej rudery. Stanęła w sieni i powiedziała, że się pomyliłem, bo przecież Bóg dał nam Hraszkę.

A trzeci raz?

Trzeci raz opowiesz ją ty.

Aleksandra Majdzińska
Stara Dąbrowa

„A co wyście myślały? Spotkania z kobietami z mazowieckich wsi"

Latem 2017 roku dwie trzydziestolatki z Warszawy wsiadły do samochodu i wyruszyły na spotkanie wsi. Nie miały określonego celu, nie podróżowały według ściśle wytyczonego planu. Po prostu jechały, prowadzone palcem na mapie, a zatrzymywały się, gdy napotykały we wsi kobiety - przy płocie, czasem wprost na drodze, albo w sklepie, gdy zatrzymały się po coś do picia. Albo też przy robocie: „Pielę truskawki, co mi przeszkadza pogadać?"

Autorki zatem nawiązywały rozmowę i, jak piszą, nagabywane kobiety „czasem nas zbywały, czasem zapraszały, żebyśmy przysiadły na ławeczce. Często rozmowę kończyłyśmy nad kubkiem parującej kawy, a w dalszą drogę ruszałyśmy obdarowane tuzinem jaj".

Czego poszukiwały dwie młode miastowe kobiety w odległych od stolicy wioskach? Po co zaczepiały napotykane przypadkowo mieszkanki wsi, o co je pytały, czego chciały się dowiedzieć? Agnieszkę Pajączkowską i Aleksandrę Zbroję nurtowała kwestia, „jak żyją te, które zdecydowały się nie emigrować do miast? Czy mamy szansę spotkać 100 kilometrów za Warszawą dziewczynę podobną do nas: trzydziestoletnią, bezdzietną, wykształconą, samodzielnie mieszkającą i utrzymującą się singielkę? Czy na wsi to w ogóle możliwe? W końcu - co myślą o nas, miastowych, wieśniaczki, i czy wypada tak o nich mówić". Autorki rozmawiały z wieloma kobietami, różniącymi się wiekiem (od 17-latki do staruszki 92-letniej) wykształceniem, stanem cywilnym, zawodem czy pozycją majątkową. Wszystkie były pytane o to samo: miłość, dzieci, rodzinę, codzienną pracę, ambicje zawodowe, a także zarobki, relacje społeczne, prawa kobiet czy politykę społeczną. Zawarte w książce „A co wyście myślały? Spotkania z kobietami z mazowieckich wsi" wypowiedzi bohaterek nie są komentowane ani nie oceniane. Po prostu oddano im głos.

Rozmowy z wiejskimi kobietami okazały się bardzo cenne dla samych autorek. Jak przyznają, „dzięki spotkaniom z naszymi bohaterkami miałyśmy okazję doświadczyć, co nas łączy, co dzieli, przede wszystkim jednak - wysłuchać siebie nawzajem. Co rusz przeglądałyśmy się w zdziwieniu naszych

rozmówczyń, ich sympatii, współczuciu, ale też niezrozumieniu i irytacji zdawanymi przez nas pytaniami. „A co wyście myślały?" - słyszałyśmy wielokrotnie".

Kogo zatem Agnieszka Pajączkowska i Aleksandra Zbroja napotykały przy wiejskich drogach? Czy znalazły dziewczynę podobną do nich? Jak żyją kobiety na mazowieckiej wsi? Jakie mają troski, a co je cieszy? Co jest dla nich w życiu najważniejsze? Jak kobiety żyły dawniej i dlaczego teraz jest łatwiej, choć niegdyś bywało weselej? Na odpowiedzi wskazują już same tytuły nadane wypowiedziom: „Aneta planuje nie ruszać się ze swojej wsi", „Danusia poszła do szkoły, żeby nie wyjść za mąż", „Klara nie powiedziałaby o sobie, że jest dziewczyną ze wsi", „Emilia nie jest jak to cielę, też ma swoje pasje", „Sabinie nie chce się ruszać i zostawiać dziecka", „Renata doi 200 krów", „Róża widzi, żeśmy się w życiu nie napracowały", „Basia poznaje chłopaków przez Facebooka", „Celina zrobiła dla wsi dwa i pół kilometra drogi", i tak dalej, i tak dalej... Co kobieta to osobna historia, bogate przeżycia albo zwyczajne, codzienne życie. Panny, mężatki, wdowy, rozwódki. Wykształcone i po zaledwie podstawówce. Przedsiębiorcze i żyjące tylko z zasiłków. Te młodsze nie zawsze nowoczesne, te starsze nie zawsze „zacofane". Nie ma, jak się okazuje, jednego wzorca kobiety na wsi, nie można potwierdzić stereotypu czy stereotypów. To też usłyszały autorki, no bo - „A co wyście myślały?"

Tematem, który zawsze pojawiał się w rozmowach, było małżeństwo. Kiedyś, jak wspominają starsze mieszkanki wsi, dziewczyny zwykle młodo wychodziły za mąż. Czasem bardzo wcześnie i poza swoją wolą, jak Bronia - gdy miała szesnaście lat, zmarła matka, „ojciec sam by sobie nie poradził, więc szybko kobietę inną znalazł, mi zarządził iść za jej syna. I tak moja macocha była zarazem teściową, a mąż - ojca mojego pasierbem. Męża nie znałam wcześniej, gdzie tam! Kochana, kiedyś tak nie chodzili do siebie jak teraz. Raz przyjechał do nas na rowerze, wcześniej mnie nie widział. Minął może miesiąc i żeśmy się pobrali. Pewno jakby się człowiek uparł, z domu uciekł, to za mąż za obcego by nie szedł, ale gdzie mi w głowie wtedy było uciekać". Czasem z konieczności życiowej, jak Wanda: „Ojciec zmarł, kiedy skończyłam 12 lat. Siostra siedem lat młodsza, mama chora - musiałam się wszystkim zająć. Biegałam przy zwierzętach, bośmy wszystko mieli swoje, byle tylko nie kupować. Chodziłam do pracy na wykopki i do rwania jabłek. Szkołę zawalałam. Jedna ze wszystkim na głowie - długo tak bym sama nie pociągnęła, więc jak miałam dziewiętnaście lat, pobrałam się. Bo ja wiem, czy zakochana byłam? Jak się trafił, to się cieszyłam. Mówili mi: „Kawał chłopa z niego dobry, co będziesz innych szukać? Będzie wam lżej". I rzeczywiście, lżej było". Starsze rozmówczynie wspominały swoich mężów, młodsze opowiadały o obecnych albo byłych, najmłodsze o tych wymarzonych. Niektóre, jak trzydziestoletnia Marta, zastanawia się czasem, czy nie czas na założenie rodziny, ale „zwyczajnie nikogo jeszcze nie poznałam. Akceptuję ten stan rzeczy". Władzia wyszła za mąż w wieku 33 lat, nie spieszyła się. Z drugiej strony, także teraz dziewczyny na wsi często bardzo młodo zakładają rodzinę; Basia, która chłopaków poznaje podczas imprez albo przez Facebooka, tak relacjonuje: „Po kolei patrząc po domach we wsi, to jest tak: ta, co dziewiętnaście lat miała, jak urodziła; dalej taka, co nawet wcześniej, bo 18 lat skończyła, a jedno już chowała; ostatniej 23 lata stuknęło i trójkę dzieci wychowuje".

Dzieci to kolejny temat, za każdym razem obecny w rozmowach autorek z napotkanymi kobietami. Grażyna tak wylicza swoje: „Pierwsze było w 1984, a potem już co roku: '85, '86, '87, później '89, bo Bóg dał dwa lata przerwy, no i znowu '90, '93 i '97. Łącznie jest ich ósemka. Przy pierwszym miałam 18 lat, przy ostatnim 39". Bronia wspomina, jak kiedyś dla kobiety „o odpoczynku nie było mowy. Jak tu odpoczywać po porodzie, kiedy wszystko trzeba było robić? Kiedy pierwszą córkę miałam rodzić, jeszcze tego samego dnia do wieczora kosiłam żyto na polu sąsiadów. Do domu wróciłam normalnie, ale kolacji już nie dałam rady zrobić. Sąsiadki ugotowały coś mężczyznom, a ja rodziłam". A teraz, jak twierdzi Marta, „praca kobiet na wsi ogranicza się do prowadzenia ogródka warzywnego, bo wszystkie gospodarstwa są zmechanizowane, a maszyny ogarniają mężczyźni". Autorki spotykają kolejną kobietę i Renata, zapytana o dzieci, odpowiada ze śmiechem: „Czy dzieci małe? A gdzie tam! Ja za kilka miesięcy zostanę babcią. A co wyście myślały? 37 lat i babcia - tak się na wsi żyje!". Ale nie tylko w ten sposób się na wsi żyje, bo wypowiadają się też i bezdzietne, i te, które z wielkim trudem, po wielu latach zaszły w ciążę, i nawet taka, która o dzieciach nigdy nie myślała. A gdy dzieci już są, dorastają inaczej niż było kiedyś. Trafnie podsumowała to Helena: „Jak miałam naście lat, ojce kosą kosili zboże, ja podbierałam. Teraz młode panny nawet nie wiedzą, gdzie rodzice mają pole. Z kościołem też inaczej się układają. Weźmy wczorajsze kazanie, Matki Boskiej Zielnej było i ksiądz mówił o roli kobiety, o pokorze. Ja tylko sobie myślałam: moje córki to jeszcze niekiedy pokorne, ale wnuczki pokory już raczej nie mają. I dobrze, bo czasy nadeszły inne".

Czasy nadeszły inne, ale nadal na wsi, jak opowiadają bohaterki książki, przeważa konserwatywny styl życia z wzajemną kontrolą wśród najbliższej społeczności, kobiety często są dyskryminowane w stosunku do mężczyzn, a wieś nadal doświadcza wykluczenia polegającego na braku dostępu do choćby transportu publicznego. Jednocześnie jednak, jak twierdzą autorki, „część kobiet ma przekonanie, że wieś daje im więcej, zarówno w sensie ekonomicznym i społecznym, niż nam może dać życie w mieście". Jak Julka, która po dwóch latach mieszkania w Warszawie wie, że, jak mówi, „nie potrafię odnaleźć się w miejscu, gdzie nie zna się sąsiadów". Mieszka na wsi, gdzie wszyscy trzymają się razem; nigdy jeszcze nie zamknęła samochodu, nie postawiła nawet ogrodzenia wokół domu. Żyją jak w jednej rodzinie: „teraz była komunia mojego syna, poprosiliśmy wszystkich sąsiadów, 80 osób. W weekendy organizujemy wypady rowerowe, chodzimy o kijkach z dziewczynami ze wsi, biegamy". Gosia studiuje prawo w stolicy, ale planuje wrócić na wieś: „W Warszawie zbyt dużo się traci. Czas, przede wszystkim. Chcesz kupić sukienkę, a wyprawa do galerii handlowej zajmuje trzy godziny. W Ostrołęce wchodzę do pierwszego sklepu i jestem ubrana. Poza tym na wsi jest cisza, fajne powietrze, rodzina".

Autorki książki swoją wyprawę po wiejskie opowieści kobiece potraktowały także jako okazję do poznania historii swojej rodziny. Agnieszka Pajączkowska, warszawianka od pokoleń, „szuka wsi w swojej rodzinie", a Aleksandra Zbroja „odpytuje babcię Halinkę", która niegdyś wyjechała do stolicy z rodzinnej wioski. Rozmowy z babcią o historii rodziny kończą się znamienną refleksją: „Ola: Na wsi nie ma już nic naszego? Halinka: Jakieś tam wspomnienia. Ola: Twoje wspomnienia. Halinka: No tak, ty już mało pamiętaszz mazowieckiej wsi. Ola: Ostatnio usłyszałam od dziewczyny ze wsi, że jestem bardzo miastowa, czyli że chyba taka niezaradna. Halinka: I co? Ola: I mnie to dręczy".

„A co wyście myślały? Spotkania z kobietami z mazowieckich wsi" kończą się podziękowaniami. Na pierwszym miejscu autorki dziękują swoim bohaterkom - „wszystkim kobietom, które zgodziły się z nami porozmawiać. Doceniamy okazaną nam otwartość i zaufanie. Dziękujemy również za kawy, herbaty, ciasteczka, pomidory, życiowe porady. Dziękujemy za ucieranie nam nosa, otwieranie oczu". Jak w spotkaniu z Heleną, która z wnukami z Anglii rozmawia przez Skype'a: „teraz i ja mam iPada, tylko go mało używam. Laptopa też mam. I Facebooka. A co wyście myślały?".

Jolanta Betkowska
Słupsk

Leopold Tyrmand - dociekliwy obserwator PRL-owskiej rzeczywistości

Rok 2020 został ogłoszony przez polski Sejm Rokiem Leopolda Tyrmanda. W tym roku mija 100. rocznica jego urodzin i 35. rocznica śmierci. Leopold Tyrmand zasłynął w Polsce jako dociekliwy obserwator rzeczywistości społecznej PRL-u, kronikarz tamtych lat, pisarz, dziennikarz. a szczególnie inspirator i wielki miłośnik muzyki jazzowej

Fot. A. Grycuk / wikimedia.org

Przeżył czas dwóch totalitarnych systemów - nazistowski i komunistyczny, przed którymi ciągle uciekał, bo kochał wolność i był zafascynowany kulturą zachodnią, a szczególnie jazzem i modą amerykańską. Urodził się 16 maja 1920 roku w Warszawie, zmarł 19 marca 1985 podczas rodzinnych wakacji w Fort Meyers na Florydzie. Biografowie odnotowują, że pochodził z zasymilowanej rodziny żydowskiej. W 1938 roku wyjechał do Paryża i tam rozpoczął studia architektoniczne w Academie des Beaux-Arts. Druga wojna światowa, zastała go w Warszawie. Uciekł do Wilna, a rodziców pisarza wywieziono do Majdanka. Tam zginął jego ojciec, a matka przeżyła wojnę i wyjechała potem do Izraela.

Leopold Tyrmand pracował w Wilnie w redakcji pisma Prawda Komsomolska. W 1941 roku został aresztowany przez NKWD za kontakty z Armią Krajową. Uciekł z transportu kolejowego, zdobył fałszywe dokumenty i przedostał się do Francji. Następnie przebywał w Niemczech i Szwecji, podejmując się dorywczych zajęć. Po powrocie do Polski pracował jako dziennikarz. Rozpoczął współpracę z Przekrojem, Tygodnikiem Powszechnym i Ruchem Muzycznym. W 1950 roku w sprawozdaniu z turnieju bokserskiego niepochlebnie wypowiedział się na temat radzieckich sędziów, za co został wyrzucony z Przekroju. Później został objęty trzyletnim zakazem publikowania. W 1955 wydał swoją słynną powieść „Zły", która przeszła do powojennej historii, jako niezależna literatura dokumentująca ówczesną rzeczywistość.

Przełomowym wydarzeniem w życiu Leopolda Tyrmanda był zorganizowany I Ogólnopolski Festiwal Muzyki Jazzowej - Sopot 1956. Prekursorem tego wydarzenia, „pierwszą jaskółką" na drodze do „rehabilitacji" tej muzyki był z pewnością Międzynarodowy Festiwal Młodzieży i Studentów, zorganizowany latem 1955 roku w Warszawie. To wtedy można było nabyć serię płyt Polskich Nagrań pod wspólnym tytułem „Kronika Dźwiękowa Festiwalu Młodzieży". Na płytach tych nie zabrakło nagrań zespołów jazzowych, pojawiła się nawet - po raz pierwszy w okresie powojennym - płyta zachodniej grupy jazzowej The Bruce Turner Quintet, z Wielkiej Brytanii. W stolicy dla uczestników festiwalu został zorganizowany cykl koncertów pod nazwą „Estrada Jazzowa", których gospodarzem był już Leopold Tyrmand.

Należy dodać, że jazz w latach 1948-1955 został uznany za muzykę wrogą socjalistycznym ideałom i słuchano jej tylko w zachodnich radiostacjach, m.in. w słynnym „Radio Luksemburg". Byłem świadkiem tych wydarzeń i uczestniczyłem w I Ogólnopolskim Festiwalu Jazzowym w Sopocie w 1956 roku zorganizowanym pod przewodnictwem redaktora Leopolda Tyrmanda. Pamiętam, był on nie tylko „jazzowym guru" młodego pokolenia, ale również „arbitr elegantiarum", ubierał się zgodnie z zachodnią, niedostępną w tamtym czasie modą z wszystkimi szykanami, a jego słynne czerwone skarpetki przeszły później do legendy. Miał już pozycję popularnego pisarza i owiany był aurą gigantycznego sukcesu sensacyjnej powieści „Zły" z 1955 roku. W 1956 w całej Polsce lawinowo już powstawały kolejne jazz cluby, a jednym z filarów prężnie działającego klubu gdańskiego był, blisko zaprzyjaźniony z Leopoldem Tyrmandem, wybrzeżowy dziennikarz Franciszek Walicki. Był też on jednym z głównych pomysłodawców zorganizowania właśnie w Sopocie wielkiej międzynarodowej imprezy festiwalowej, na której mogli się pojawić w głównej roli muzycy jazzowi. Po latach F. Walicki w swojej książce „We wspomnieniach Anioła Stróża" tak wspominał czas przygotowań do festiwalu: „Wiosną 1956 roku, podczas jednego z naszych spotkań w Warszawie, Tyrmand wysunął pomysł zorganizowania na Wybrzeżu dużej imprezy muzycznej z udziałem najciekawszych polskich muzyków i zespołów jazzowych. Lolek miał przygotować listę zaproszonych zespołów, ja miałem zbadać teren i doprowadzić do realizacji pomysłu. Zainteresowaliśmy imprezą znakomitego organizatora, Jerzego Kosińskiego - ówczesnego dyrektora Wojewódzkiej Agencji Imprez Artystycznych w Sopocie - a po kilku tygodniach stało się jasne, że impreza odbędzie się w sierpniu 1956 roku w Sopocie i otrzyma nazwę I Ogólnopolski Festiwal Muzyki Jazzowej. To Tyrmand był sercem i duszą tego festiwalu. On dobierał wykonawców, ustalił skład Komitetu Honorowego i prowadził pierwsze koncerty".

Brałem udział w uroczystym rozpoczęciu festiwalu i zapamiętałem to wydarzenie. Był poniedziałek, 6 sierpnia 1956

WSPOMNIENIE

roku, kiedy barwny, radosny pochód wszystkich biorących udział muzyków oraz tysięcy ich młodych entuzjastów przemaszerował przez centrum Sopotu. Szliśmy dzisiejszym deptakiem słynnym „Monciakiem", który wtedy nosił jeszcze imię Marszałka Konstantego Rokossowskiego. Sensację wzbudzały niesione na jego końcu wypisane w formie transparentów hasła. Uroczystego otwarcia festiwalu dokonał Stefan Kisielewski, a Leopold Tyrmand dokonał prezentacji zespołów. Przez tydzień w centralnej sali Biura Wystaw Artystycznych (dziś mieści się tu Państwowa Galeria Sztuki), zlokalizowanej nieopodal sopockiego mola, odbywały się koncerty kolejnych wykonawców. W piątek wieczorem odbył się wielki Jam Session w Operze Leśnej, która nie była jeszcze przykryta dachem. Wystąpili wszyscy muzycy i soliści. W tym samym miejscu następnego dnia zorganizowano koncert „All Stars", a 12 sierpnia, w niedzielę odbyło się zakończenie festiwalu z festynem i z licznymi atrakcjami na molu.

Wszystkie koncerty zapowiadał i prowadził osobiście Leopold Tyrmand, a jazz królował niepodzielnie nie tylko na sopockich scenach, ale również na ulicach, w parkach i na plażach. Rewelacją był zespół z Poznania stworzony zaledwie kilka miesięcy wcześniej przez młodego, 25-letniego lekarza i pianistę Krzysztofa Komedę-Trzcińskiego. Później, w czasie studiów w Poznaniu mogłem go słuchać i lepiej poznać. Wybitny muzyk Jan Ptaszyn Wróblewski, który też był podziwiany na festiwalu, tak zapamiętał atmosferę tamtego muzycznego święta: „Nam się w ogóle nie śniło, że może być coś takiego jak festiwal. Festiwal ogólnopolski, międzynarodowy - przecież ja nigdzie przedtem nie grałem, poza zabawami tanecznymi w Poznaniu, wyłącznie dla kolegów - studentów. To było wielkie wydarzenie nie tylko dla nas, debiutantów, ale i dla weteranów typu Trzaskowski-Matuszkiewicz. I oni czuli presję, ale też byli podbudowani tym wszystkim, co się działo. Do Sopotu przyjechało dziesiątki tysięcy ludzi z całej Polski. Kiedy szedł ów legendarny, otwierający pochód, to na sopockim deptaku nie było gdzie palca wcisnąć. Przez 24 godziny na dobę trwała przedziwna, wspaniała atmosfera. Tłumy nieustannie przewalały się po deptakach, tysiące koczowało na plażach. Wszyscy ze sobą nawiązywali kontakt. W Sopocie pojawiły się pewne określone środowiska. Trudno pominąć Piwnicę pod Baranami, teatrzyk Bim-Bom, z Cybulskim, Afanasjewem, Kobielą. Tu następowało silne związanie się tej generacji." Zapamiętałem również, jak w ciągu tych chłodnych wieczorów lata 1956 roku rozbrzmiewała w Sopocie melodia starej murzyńskiej pieśni „Swanee River", to także był pomysł Tyrmanda. Melodia ta stała się później tradycyjnym sygnałem wszystkich następnych festiwali jazzowych w Polsce - z Jazz Jamboree włącznie. Lokalna prasa donosiła, że w ciągu siedmiu kolejnych dni sierpnia ponad trzydzieści tysięcy młodych ludzi, przybyło na Wybrzeże z najdalszych zakątków kraju. Byłem wśród nich. Miałem pozwolenie mojego ojca, aby zamieszkać u jego siostry - mojej ciotki w Gdańsku-Oliwie i uczestniczyć w festiwalu. Wspominam ten czas, bo byłem już po maturze, dwa dni przedtem skończyłem 18 lat i poczułem się jako dorosły entuzjasta festiwalu. Pasjonowałem się już muzyką, a festiwal wywarł szczególny wpływ na ostatecznie ukształtowanie się moich zamiłowań do jazzu. Podziwiałem amerykańskich muzyków jazzowych - Armstronga, Parkera, a Brubecka mogłem później słuchać w Poznaniu w auli Politechniki w czasie jego tourne po Polsce.

Festiwal Sopocki stanowił przełom w naszej kulturze, w życiu młodzieży i wprowadzał radykalną odnowę. Mimo zachodzących zmian bardzo krańcowe opinie towarzyszyły sopockim imprezom, a echa sopockiego „trzęsienia ziemi" długo nie milkły na łamach prasy. Przeglądałem stare gazety, w których ukazywały się sprzeczne artykuły, by zbulwersować opinię publiczną. Jedna z gazet codziennych przekazywała zakłamany obraz festiwalu sopockiego, aby wywołać interwencję władz. Czytam w niej: „...rozzuchwaleni awanturnicy zdzierają z dziewcząt części garderoby i rzucają pod sufit. (...) Doszło do tego, że rozwydrzony tłum zatrzymywał przejeżdżające samochody, podnosił je do góry. (...) W imieniu opinii publicznej, w imieniu zaniepokojonych czytelników domagamy się: wyciągnięcia surowych konsekwencji wobec niefrasobliwych organizatorów tej ponurej afery, wyjaśnienia, dlaczego funkcjonariusze MO bezczynnie przyglądali się wybrykom i ekscesom, ujawnienia finansowo-organizacyjnych kulis imprezy (także tego, ile pieniędzy zarobili na imprezie poszczególni organizatorzy i za co), zabronienia na przyszłość organizowania imprez masowych przez tak nieodpowiedzialnych ludzi. Afera sopocka, naszym zdaniem, winna znaleźć swój epilog w prokuraturze". Byłem przez cały czas trwania festiwalu w

Fot. A. Grycuk / wikimedia.org

Sopocie i nie zaobserwowałem przewracanych samochodów, ani rozpasania, tylko ogromne podniecenie słuchaczy muzyką. W gazetach z tamtego okresu można się doliczyć ponad 200 artykułów, w których rozgrywał się jakiś dziwny ping-pong, na przemian odzywali się zwolennicy i zdeklarowani wrogowie festiwalu. Ożywione dyskusje i spory trwały jeszcze długo po i nie dotyczyły samej imprezy. Przy okazji wywołano problem dotyczący przyszłości młodzieży i jej wychowania, wskazywano miejsce nowoczesności w życiu społeczeństwa oraz potrzebę gwałtownych zmian w polityce kulturalnej Polski.

Odwilż w sztuce i kulturze była już faktem i nie brakowało artykułów, które stawały w obronie organizatorów festiwalu. Gazeta Pomorska wtedy pisała: „Jazz wyzwolił nie tylko żywiołowe odruchy naszej młodzieży, ale także poruszył kołtunerię i ponuraków, którzy z grobową miną zapowiadali niemal koniec świata, jeśli pozwolimy rozwijać się jazzowi w Polsce. (...) Poszły w ruch stugębne plotki, którym dali wiarę nawet niektórzy dziennikarze, upatrując w barwnym tłumie... nosicieli bakcyla chuligaństwa i obcych obyczajów. Widziano ponoć poprzewracane samochody, bijatyki i rozpasanie"... Jeszcze inny dziennik krytykował ubiór i entuzjazm młodzieży, modę, i styl, przedstawiano podochocone dziewczęta rozebrane, które odstawiały coś w rodzaju tańca, że zaczesani na kretynów młodzieńcy podrygiwali w takt samby. Piszący to dziennikarz zastanawiał się, jak takie zjawisko można nazwać, czy jest samo dla siebie i opisywał dalsze szczegóły: „Obcisłe dunkry, koszule na wierzch, kretyńskie grzywki u chłopców, swetry z dekoltem á la Sophia Loren, rozczochrane kosmyki i wyraz zblazowania na gamoniowatych twarzach"... Była też konkluzja: „Jeśli odwilż ma być taka, to już chyba lepszy trzydziestostopniowy mróz".

To było zderzenie z innym - niezrozumiałym zupełnie dla części starszego pokolenia - światem, nieoczekiwany wybuch wolności, nawet jeśli tylko tymczasowej i to w kwestii obyczajowej i artystycznej. Następowała pokoleniowa integracja wokół muzyki jazzowej i lato roku 1956 przeszło do historii kolosalnych zmian. Muzyce jazzowej przestano w końcu przypisywać wcześniej odgórnie nadaną rolę wroga ustroju. Nie wszyscy oczywiście dostrzegli tę przemianę, ale można podziwiać, że nawet ówczesny organ prasowy Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku, Głos Wybrzeża, w taki sposób odpowiadał na zarzuty przeciwników sopockiej imprezy: „Nie, to stanowczo nie była banda chuliganów. To była po prostu młodzież... Reagowała na muzykę w sposób żywy, czuły i na ogół trafny. Tam, gdzie można było krzyczeć - po udanych improwizacjach w stylu tradycyjnym - tam rozlegały się krzyki i gwizdy. Tam, gdzie grano jazz nowoczesny - wymagający uwagi i skupienia - tam widownia umiała zachować spokój".

Kolejne już sporadyczne donosy dziennikarskie miały szokujące i obraźliwe nagłówki w formie zapytania: „Kiedy skończy się ta bikiniarska i gorsząca orgia miłośników muzyki jazzowej?" Natomiast część komentatorów już oddawała prawdziwego ducha festiwalu i przedstawiała w świetle obiektywnych ocen przyszłość jazzu: „Polski jazz wyszedł z ukrycia. Okazało się, że i w tej, tak popularnej i lubianej dziedzinie muzyki, mamy poważne osiągnięcia, nie mamy czego się wstydzić. Sopocki festiwal był przeglądem dorobku ostatnich lat i miesięcy. (...) Był dopiero pierwszym krokiem na drodze rozwoju polskiego jazzu, któremu rokować można dobre nadzieje i horoskopy. Pod tym względem okazał się imprezą pożyteczną i choć jest pierwszym, chyba nie będzie ostatnim. Czas przestać traktować jazz jako kopciuszka. Nie można go dłużej przemilczać. Trzeba się liczyć z jego istnieniem jako realnym zjawiskiem naszego życia kulturalnego i tak też się do niego ustosunkować."

Jednym z twórców tych zmian był Leopold Tyrmand. Był również kreatorem mody młodzieżowej, która zrewolucjonizowała szarzyznę, smutek i ponuractwo istniejące w ówczesnej Polsce. Tyrmand swoim wyglądem i ubiorem propagował styl potrzeb indywidualnych, promował radosny, kolorowy ubiór i elegancję dla młodego pokolenia przeciwstawiając się ubóstwu i smutnej otaczającej rzeczywistości. Po festiwalu zdobył pozycję najważniejszego redaktora i popularyzatora muzyki jazzowej w Polsce, współorganizował koncerty i następne festiwale. Wydał w 1957 roku monografię „U brzegów jazzu". Wkrótce potem powstała jego powieść „Wędrówki i myśli porucznika Stukułki" i zbiór opowiadań „Gorzki smak czekolady Lucullus".

Leopold Tyrmand mimo osobistych sukcesów nie mógł zaakceptować ówczesnej rzeczywistości PRL. W roku 1965 po wielu latach starań zdobył paszport i wyjechał z Polski. Podróżował po Europie i Izraelu, przebywał na stypendium w Stanach Zjednoczonych. Rozpoczął współpracę z pismem The New Yorker, publikował też swoje eseje. W 1971 roku poślubił doktorantkę iberystyki na Uniwersytecie Yale, Marry Ellen Fox.

Dziś można na e-booku przeczytać książkę pt. „Zły Tyrmand" autorstwa Mariusza Urbanka, który stanowi swoiste podsumowanie słynnego „Dziennika 1954". Brudnopisy „Dziennika" zostały wywiezione za granicę wielokrotnie, były poprawiane i zostały po jego śmierci wydane. Obejmują trzy miesiące zapisków z przełomowego roku 1954. Duża dociekliwość dziennikarska autora zaowocowała w jego książce. Jest to żywa kronika tamtych lat. Pisze o elitarnej szkole dla dygnitarskich dzieci, do której chodzi jego młoda kochanka, o nowo powstałym piśmie młodzieżowym Naokoło Świata, które prędko zaczęto nazywać Głosem Bikiniarza, o prywatkach, na których brylował, tańcząc boogie-woogie, o wyprawach na Bazar Różyckiego, gdzie można było wytargować u „ciuchary" modne i niebanalne ubrania z Zachodu. Do najciekawszych fragmentów dziennika należą również uwagi o architekturze odbudowywanej Warszawy - o Muranowie, Starym Mieście, MDM-ie, czy powstającym wówczas Pałacu Kultury.

Współczesność uznała Leopolda Tyrmanda za legendę polskiego jazzu, socjalistycznego playboya, enfant terrible swingujących lat pięćdziesiątych w PRL-u. Najważniejszym jednak wydarzeniem tamtych czasów, które przypisuje się mu, był festiwal. Pisarz zapisał się na trwałe nie tylko w historii polskiej muzyki, ale stworzył przełom w polityce, przecierając szlaki dla nowych trendów w sztuce i kulturze.

Wspomniany redaktor Franciszek Walicki, który już po kilku latach stanął na czele kolejnej rewolucji obyczajowej i muzycznej - został uznany za „ojca chrzestnego" polskiego rocka, tak w swojej książce pisał: „...festiwal sopocki był nie tylko imprezą muzyczną. Był on także szczególnego rodzaju manifestacją młodzieży przeciwko długiemu okresowi drętwej mowy, przeciwko ponuractwu i doktrynerstwu, nudzie i szarzyźnie, przeciwko metodom bezmyślnego prowadzenia za rękę i obowiązującej zasadzie uszczęśliwiania ludzi wbrew ich woli".

Dziś mamy demokrację w kulturze i dziwne się wydają tamte czasy młodszym pokoleniom. Dla upamiętnienia dokonań Leopolda Tyrmanda jest ogłoszony Jego rok, który przewidywał organizację wielu imprez okolicznościowych i wystaw. Miasto Darłowo z budżetu obywatelskiego sfinansowało „ławeczkę z rzeźbą Leopolda Tyrmanda" wykonaną z brązu. Pisarz jest w rogowych okularach i siedzi po lewej stronie ławki. Miasto w ten sposób uczciło fakt napisania przez pisarza książki pt. „Siedem dalekich rejsów", której akcja dzieje się w Darłowie. Rok Leopolda Tyrmanda daje sposobność zapoznania się przełomowymi wydarzeniami w powojennej kulturze polskiej, które przechodzą już do historii, a postać niezłomnego pisarza i redaktora jest przybliżana za prowadzoną heroiczną walkę o nowe oblicze kultury, za muzykę jazzową i za zmianę obyczajowości, ogólnie za naszą dzisiejszą rzeczywistość.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia.eu

Fot. J. Maziejuk

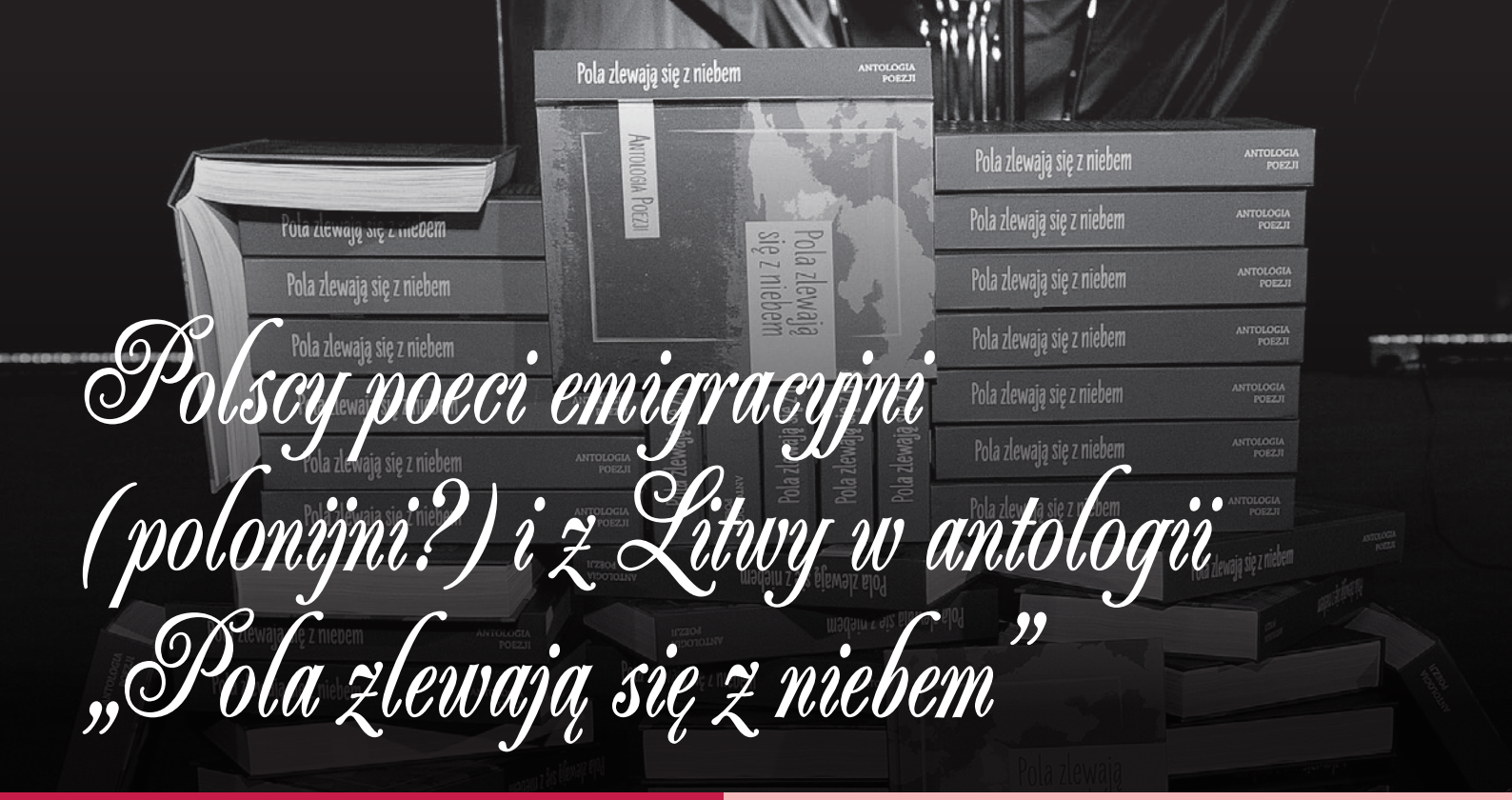

Polscy poeci emigracyjni (polonijni?) i z Litwy w antologii „Pola zlewają się z niebem”

Jerzy Fryckowski, obecny prezes ZLP w Słupsku, jak nikt inny znający środowiska literackie, od lat zachęca twórców z zagranicy do publikowania w Słupsku. Jedyną zapłatą są cztery egzemplarze aktualnego wydawnictwa. Takie są zasady dla wszystkich. Natomiast korzyści pozamaterialne są nie do przecenienia dla obu stron, a przede wszystkim dla czytelników

Zwykle Polonia miała bogatszą reprezentację w słupskiej antologii poezji. Gościli na jej łamach Marta Bassart, poetka z Londynu, przedstawicielka „PoEzji Londyn”; Władysław Jan Burzawa, chicagowski bard, związany z Grupą Poetycką „ARKA” w Chicago; Jacek Jaszczyk, twórca i autor pierwszego polskiego programu radiowego w Irlandii; Tomasz Wybranowski, dziennikarz, publicysta, radiowiec, poeta i pisarz, dyrektor muzyczny sieci radia WNET i szef Studia 37 w Dublinie; Marek Wieczorek z Chicago, kierowca ciężarówki i poeta; Janusz Kliś publikujący w polonijnej prasie chicagowskiej i inni.

„Sytuacja polskich poetów w Chicago jest trudna ze względu na to, iż jesteśmy pozostawieni własnej inicjatywie i możliwościom. (...) Nasze spotkania odbywają się w prywatnych lokalach. Dzięki redakcji tygodnika „Monitor” mamy możliwość druku naszych wierszy. Tam też publikujemy wiersze poetów z różnych zakątków świata - emigrantów, jak my, a czasem poetów z Polski. Pomimo iż jesteśmy oderwani od środowiska literackiego w Polsce, to jednak udało nam się nawiązać kontakty z wieloma poetami, między innymi: Anną Ulman, Krzysztofem Kołtunem oraz Jerzym Fryckowskim. To dzięki nim nasze wiersze drukowane są też w Polsce” - tak opisywała kilka lat temu sytuację poetyckiej Polonii Elżbieta Wałkuska-Chojnowska, poetka, założycielka Grupy Poetyckiej „ARKA” w Chicago, również obecna w słupskich wydawnictwach.

Jerzy Fryckowski, obecny prezes ZLP w Słupsku, jak nikt inny znający środowiska literackie, od lat zachęca twórców z zagranicy do publikowania w Słupsku. Jedyną zapłatą są cztery egzemplarze aktualnego wydawnictwa. Takie są zasady dla wszystkich. Natomiast korzyści pozamaterialne są nie do przecenienia dla obu stron, a przede wszystkim dla czytelników.

Władysław Jan Burzawa, od 1984 roku na emigracji w USA, debiutował w późnych latach siedemdziesiątych. Od tamtego czasu jego utwory są obecne w pismach literackich i społeczno-kulturalnych emigracji. Tegoroczna antologia „Pola zlewają się z niebem” przedstawia trzy jego utwory: „Na skróty”, „Kod pocztowy”, „Do wyboru”. Poeta posługuje się skrótem myślowym jako metaforą, stosuje autoironię jako wyraz postawy kontestacyjnej, którą przyprawia słownym żartem.

„Kod pocztowy
Pamiętać tak naprawdę pamiętać
o wysłaniu z adresem nadawcy
przesyłek do Boga
o podaniu właściwego kodu pocztowego
który przyspieszy doręczenie
i da pewność
że nie otrzymamy odpowiedzi
z podpisem
DIABLI NADALI...”

Janusz Kliś, który debiutował w 1978 roku, od 1998 roku mieszka w USA. Jest członkiem ZLP w Chicago. Przesłał do publikacji wiersze bardzo osobiste, wyrażające tęsknotę i miłość:

„płonie niebo nad łąkami
jak plaster miodu
topi się słońce

kapią letnie tęsknoty pszczołami
i żądlą piekąco”
(„Rumiankowe lato”, Chicago 2009)

Motyw nostalgii pojawia się w wierszu „Sen nocy świętojańskiej”, w którym poeta odwołuje się do obrazów - etykiet polskiej kultury sakralnej: „Jak Czarna Madonna/ noc czerwcowa”, „Święty Jan nad nocą/ konarami chwieje”) i kolejnym, „Pamiętam maj”:

(...) stare wierzby co szumią
w maju
rzeki jak wstęgi cicho
płynące
-pamiętam i nie zapomnę
mojego kraju."

Poetycki opis „mojego kraju" wydaje się uproszczony, emblematowy, ale właśnie w taki sposób odwołuje się do tradycji wiecznej tęsknoty w poezji emigracyjnej. Tęsknota inspiruje i eksploduje, sprowadzając obraz utraconego świata do ram archetypu. Pamięć poetycka wyraża się przez archetyp.

Społeczno-kulturowa izolacja emigracyjnego życia, trudności z akceptacją, wieczne poczucie obcości - podtrzymują poczucie tymczasowości i przekonanie, że prawdziwe życie jest w kraju. Zderzenia kulturowe, społeczne, cywilizacyjne prowadzą do funkcjonowania w dwóch przestrzeniach społecznych i kulturowych: kontestacji jednej i idealizacji drugiej. Codzienność z jej kłopotami prowadzi do tęsknoty za porzuconą rzeczywistością, a nowoczesne środki komunikacji nie zmuszają do wtopienia się w „nowe życie", dają swobodny wybór strategii emigracyjnego życia. Obecność poetów w „krajowych" publikacjach jest, wydaje się, jedną z takich strategii łączności z rodzimą kulturą i literaturą.

Tegoroczna antologia poezji gości, wzorem lat ubiegłych, kierowcę ciężarówki, poetę i fotografa Marka Wieczorka, od roku 1990 mieszkającego w USA, który w wierszu „Ars poetica (Pomiędzy złotem a błękitem)" wyznaje: „Moja poezja niedojrzała jest kłosem/ który rośnie, dojrzewa, wypełnia się słowem prostym". Mimo wielu nagród i publikacji Marek Wieczorek uważa się za „poetę nieprofesjonalnego", jak większość publikujących w antologii „Pola zlewają się z niebem". Nieprofesjonalny nie znaczy mało znaczący, piszący nieumiejętnie. Poezja żywi się prawdą uczuć, szczerością, a jej „nieuczoność" jest atutem wyznania lirycznego. Poeta nie szuka wyjątkowych tematów, pisze prosto o prostych uczuciach: tęsknocie i żalu:

„Ojczyzna
Tyle powstań tyle bitew, tyle krwi przelanej.
Dla tej prawdy jedynej,
Prawdy w Europie wyśmiewanej
Prawdy, której na imię Ojczyzna.

Każdy, kto spróbował chleba na obcej ziemi,
Rację mi przyzna,
Ta druga nigdy nie będzie pierwsza.
Tak jak matka jest jedna.
Jedna jest Ojczyzna.
Nawet chleb łatwiej nabyty na nowej ziemi
Nie smakuje jak między swymi (...)"

Prawda o tęsknocie, stałym motywie poezji emigracyjnej, pojawia się obok problemu obcości i oderwania od korzeni, a mimo to trwa niedokończona rozmowa z krajem. Justyna Chłap-Nowakowa w artykule „Ojczyzna to jest pamięć podskórna" przywołuje wiersz „Odważni emigranci" Adama Lizakowskiego:

„Emigranci są wiatrem niepokoju
Kamieniem, który widział pożar państwa,
Świadkiem minionych burz, ziemią w której
Zakopuje się najdroższe skarby, która żywi
Emigranci to strażnicy najwyższych wartości".

W innym wierszu (Adam Lizakowski) dodaje: „My emigranci musimy trzymać się razem [...] piszemy staroświeckie wiersze o ojczyźnie (tam nikt już nie potrafi tęsknić, kochać ojczyzny, wstydzą się tej miłości, cała w nas nadzieja, to nasza specjalność, płacz)".

Polska widziana z oddali bywa postrzegana z większym natężeniem emocjonalnym, wydaje się więcej „warta" niż w kraju, zanurzonym w codziennej wolności, w „radości z odzyskanego śmietnika" - dodaje autorka artykułu.

Wyidealizowany obraz, sprowadzony do archetypu, poetycko atrakcyjny, nie podejmuje problemu redefiniowania najważniejszych pojęć w narodowej aksjologii. Brak też wierszy, a może po prostu redaktorzy antologii ich nie uwzględnili, opisujących emigracyjną codzienność. Mimo to każda poetycka wypowiedź jest ważna w dobrej antologii, a taką jest „Pola zlewają się z niebem".

Polscy poeci z Litwy w słupskiej antologii

Wśród 63 poetów prezentowanych w starannie wydanej, obszernej antologii „Pola zlewają się z niebem. Antologia poezji" wydanej przez Starostwo Powiatowe w Słupsku (Słupsk 2019) znajdziemy - w siedmiu rozdziałach - wiersze ośmiorga poetów wileńskich: Mirosławy Bartoszewicz, Daniela Dowiejki, Aleksandra Lewickiego, Henryka Mażula, Wojciecha Piotrowicza, Józefa Szostakowskiego, Viktorasa Tamošiūnasa - Tomaszuna i Tomasa Tamošiūnasa. Ich wiersze brzmią kresową melodią języka, szczególnie wyraźną w wierszach polskojęzycznych poetów litewskich starszego pokolenia. Układy wersyfikacyjno-składniowe, szyk wyrazów, zdrobnienia, słownictwo - uznawane w powszechnym odczuciu młodych Polaków jako przestarzałe - to wszystko odnajdziemy w kresowej poezji, która wabi jak skarbiec dawnej kultury, języka, i obyczaju.

Mirosława Bartoszewicz jest absolwentką polonistyki na Wileńskim Uniwersytecie Pedagogicznym, od 2016 roku współorganizuje Światowe Dni Poezji na Wileńszczyźnie. Obecność jej liryków w słupskiej antologii ma kilkuletnią tradycję. Podobnie jak inni poeci kresowi chętnie podejmuje wątki religijne („Kalwaria", „Wieczór"), ale nieobca jej jest wrażliwość społeczna i wyczulenie etyczne, czemu dała wyraz w wierszu „Czarnobyl":

„Umarły tam Wiara i Nadzieja
napromieniowane dawką Przemilczenia
przykryte merelką Kłamstwa
zakrywającą obrzękłe twarze Bólu i Strachu.

Wypędzono stamtąd Miłość
nie dopuściwszy do głosu Rozsądku
i teraz, i potem,
gdy wróciła Starość
z tęsknoty przedzierając się
nocami przez lasy."

Fot. J. Mazierjuk

Po motywy religijne chętnie sięga dr Józef Szostakowski („W kaplicy", „Ave Maryja"), kustosz muzeum Władysława Syrokomli w Borejkowszczyźnie koło Wilna, autor podręczników i kilku tomików wierszy. Jego biały wiersz „Biały krążek" o zwartej składni - poza opisem realnej sytuacji jest wielowarstwową metaforą trudną do jednoznacznej interpretacji:

„oczekiwanie na świt
trwa wiek i dłużej
koleśnica słońca
która miała przywieźć
ugrzęzła w nocnym niebie

nie umiesz czekać
łkasz

wtenczas czyjaś ręka
podaje litość
białą pastylkę
przyniesioną z wczorajszej
apteki"

Zatrzymajmy się przy tych dwu cytowanych wierszach. Pierwszy kryje tajemnicę „przykrytą merelką". Czym jest merelka, z jakiego języka pochodzi to śpiewne słowo, jaką tworzy metaforę? Nie zdołałam rozwiązać zagadki. Drugi wiersz, autorstwa Józefa Szostakowskiego ma więcej zamkniętych w metafory tajemnic. Jakiż to „biały krążek" miała przywieźć „koleśnica słońca"? Poeta zastąpił frazeologizm „rydwan słońca" ze starożytnego mitu swojską „koleśnicą", przywołując jednym pojęciem agrarne słowiańskie konteksty. Ale kto dziś posługuje się koleśnicą lub chociaż wie do czego i komu służyła? I jaki ma związek z „białym krążkiem"? To odległe pole skojarzeniowe, gdy wiemy, że koleśnica jest dwukołowym wózkiem, częścią pługa, a „biały krążek" komunikantem wypiekanym z białej mąki. „Litość - biała pastylka z wczorajszej/ apteki" - jak rozumieć tę metaforę? Jakie tajemne mikstury natury kryły „wczorajsze apteki"? Ile w tym krótkim tekście niedomówień, możliwości interpretacyjnych! I zaimek przysłowny: „wtenczas"! Kto dziś tak mówi? Jakie miejsce we współczesnym zasobie słownikowym zajmują pojęcia: podwoje, prząśnica, krosna, kądziel użyte przez Wojciecha Piotrowicza - po wizycie w Nowogródku, nawet w wierszu o Mickiewiczu. Nawiasem warto zauważyć, tematyka Mickiewiczowska może być uznana za jedną z cech wyróżniających, dominantę tematyczną wierszy polskich poetów na Litwie. (Halina Turkiewicz, „Rota" Współczesna polska poezja Litwy: Dominanty tematyczne).

Wiersze litewskich poetów ze słownikowymi inkrustacjami są, mimo „lokalnego" brzmienia, rodzajem drogowskazu, a posługując się słowem tegorocznej noblistki Olgi Tokarczuk - znakiem czułości wobec języka. Henryk Mażul, absolwent wileńskiej polonistyki, dziennikarz, z taką właśnie czułością pisze o poetyckim tworzywie, czyli języku w wierszu „Takie sacrum..."

„Do strof zasiadam jak do Ostatniej Wieczerzy
Nad karteczką, co niby bialuchna ponowa
I zamieram w czekaniu, kiedy Muza Słowa
Pocałunkiem Judasza me lico namierzy.

Klękam do strof jak do wieczornego pacierza (...)"

Aleksander Lewicki, autor spotkań literackich w Wilnie, pisze nostalgiczne wiersze o trudnej miłości Wilna i Warszawy. W jego wierszu „Pieśń serca kresowego" dawny zwyczaj zyskał prosty wyraz:

„Nocne Wilno
Żegna i błogosławi
Moją podróż,
Prosi pozdrowić
Swoją Matkę Warszawę (...)"

Błogosławieństwo przed podróżą - zwyczaj zupełnie zapomniany i zaniechany zmienia podróż w rodzaj pielgrzymki do miejsca sacrum. W podobnym patetycznym tonie utrzymane są kolejne patriotyczne wiersze Aleksandra Lewickiego z pierwszoosobowym podmiotem lirycznym.

O roli języka w relacjach między bliskimi pisze Viktoras Tamošiūnas - Tomaszun, (rocznik 1961), lituanista, dziennikarz i piosenkarz w wierszu „Kładka":

„(...) tylko mowa na kłody pocięta
grzebała słowa
pogubione jak głownie
dawno wygasłego ogniska
(...) a słowa
gubiły się w bezkresie"

Świadomość języka jako tworzywa poezji towarzyszy każdemu „robotnikowi słowa", jednak kresowi twórcy zmagają się z językowym tworzywem w sposób szczególny, ponieważ ich kontakt z żywymi procesami języka ze względów oczywistych jest trudniejszy, to „dawno wygasłe ognisko". Dlatego częstym motywem liryki polskich poetów na Litwie jest „problem zachowania tożsamości, przywiązanie do języka i kultury polskiej,

ciąg dalszy na str. 13

wiersze najnowsze

Jana Stanisław Smalewski, Bąkowo Gdańskie

NAUKA

1
Uczyłem się mojej wsi jak alfabetu
w szkole po literze od początku do
końca. Składałem te litery w pojedyncze
wyrazy i w najprostsze zdania. Trochę
to trwało, zanim zrozumiałem całość.

Przyszedł wreszcie czas, by ją opowiedzieć
sercem mojej matki, śpiewem leśnych
ptaków, by te głosy rozdzielić na basy
bydła i na ptasie trele, aby jej zapachy
rozmieścić w miejsca przynależne.

Ozdobić wieś w kolory, przybrać
w wiele smaków, nade wszystko jednak,
by obudzić radość. By sens pełny nadać
wszelkim troskom o nią, żeby uzasadnić,
że to było z serca i że było warto.

2
Ty mnie uczyłaś ciepła i dotyku.
Miłość matczyna to nie żaden slogan.
Nawet, gdy dzielić trzeba ją z innymi.
Nieporadność dziecka i zwykła
beztroska to tylko pretekst, by być blisko
przy niej i uczyć się życia.

Uczyć się miłości od ojca, od matki,
a za ich radą od całego świata.
Najpierw jak zwykłych liter alfabetu
poczynając od siebie, psa, kury i kota,
po inne zwierzęta. Od kwiatka i liścia,
po las, łąkę, pola.

Po strumień wody, co gasi łaknienie.
Po wilgoci chłodnej zwyczajny poranek.
Po soczystość jabłek, słodycz czereśni
i późnych węgierek. Aż do końca
samego, gdzie cmentarz zamyka wsi
rodzinnej bramy.

Aldona M. Peplińska, Motarzyno

BIAŁO-CZERWONA

Rozpłakanym niebem powitała
Poranek majowego pikniku
Jakby zawstydzona
Radości delikatnym powiewem
Aromatycznej przydrożnej rabaty
Rozkładała ramiona by
Przytulić wszelkie myśli i obawy...
Nie chce koronacji teraźniejszości
Przyklejanych biciem serca
Zainfekowanych wiadomości
Nie chce spojrzeń skrycie
Przenikających oddechów niepewności
Pragnie odwagi wieloletnich pokoleń...
Trzepoce, więc, by obudzić zmrożone
tchnienie jutra
Wczorajszego szkarłatu...

01.05.2020 r.

POMIMO

Kiedy zbieram strzępy zachmurzonych
wyładowań
Jeszcze przed godziną błogiego spokoju
Rozleniwionych myśli
Gdy układam w segregatorze doświadczeń
Rozdeptane wczorajsze pragnienia
Albo zwyczajnie łapię wstydliwej słabości
Rozchlapane plamy nieporozumień
I ukrywam przed zaciekawieniem zazdrości
Pukającej nie w porę do drzwi
(naszych domowych pieleszy)
Lub uciekam od niesłusznie podanej
Szklanki goryczy (za brak zrozumienia)
Nawet wtedy gdy potykam się o łzy
Rozczarowań niespełnionych obietnic
Nawet wtedy
Pomimo
Wracam - bo kocham...

Piotr Grygiel, Pawłówek

LEŚNY DWÓR

Był plac
i były obchody placowe
(zawsze kole w oczy rozłożystość przepastna)
dla pustki nie ma litości
choć ona w sobie przyciąga
lubieżność wsobną
wystarczy chwila nieuwagi
a zabór gotowy
i pęcznieje pustka brzemiennym
kamieniem w oku
przyjaznym oddaniem człowieczym
na wiek lub dwa
w trzecim traci autorytet czerstwości
przyciąga znużeniem przestrzeni
lub zasiedleniem pleśniawki
podwaliną murszu osamotnienia
przerasta wiekową krzewinkę beztroski
samosiejką zapuszczonych rozstępów
możliwości
zaciera granice dwornego Colosseum
i na pniu idzie w górę po wylicytowaną
władzę
obszarniczych siewców epoki kamienia
odnawialnych dawców lepikowego ognia
na pełzających palisadach epoki
cudu przetrwania

Emilia Jastrząbek-Zimnicka, Izbica

KSIĘŻYCOWE MIRAŻE

Co noc oglądam srebrzyste miraże
Światło maluje na uśpionych twarzach
Zachwyt i uwielbienie
Dla piękna tego świata
Tam gdzie zazdrosne marzenia
Nie wzlata
Pieśnią tak wdzięczną
Jak śpiewy aniołów
My ludzie z ptakami pospołu
Naśladujemy te urocze dźwięki
Tak powstają odwieczne
Księżycowe piosenki
Srebrne piosenki nad nieszczęściem płaczą
Bezsilnością na zło
Bezdenną rozpaczą

Zofia Smalewska, Bąkowo Gdańskie

ALARM DLA ZIEMI

Wiosna leniwym nurtem strumieni
rzeźbi wodą sielskie pejzaże
wiejskie chaty otaczają wieńce kaczeńców

w rozbłyskach słońca stroją się wody
dziewczęta sprawdzają w nich swoją urodę
potoki wybiegają w pola niosąc ziemi wilgoć

Tak było zawsze - od wieków i wczoraj
Dzisiaj kryniczne wody mąci ludzki zamysł
krótkowzrocznej polityki łatwego zarobku
Strumienie wysychają pęka skóra ziemi

Giną ryby ptactwo i giną zwierzęta
Ludziom też trudno dostrzec błękit nieba
Szarzeje przestrzeń duszą się płuca
Kto pierwszy zginie: człowiek czy przyroda?

Zygmunt Jan Prusinski, Ustka

ZŁAMANE PIÓRO

Wiem Janie Lechoniu,
że kochałeś Polskę prawdziwie.
Swoim lotem zapomniałeś zabrać pióro;
nie było ciężkie, pióro poety nie jest ciężkie,
ciężkie są słowa.
Zadbałeś jednak o uczucia
nazwać w swoich wierszach po imieniu,
czym jest Polska i Warszawa dla ciebie.
Ten miękki piasek pod stopami
i sosnowe modlitwy pochylone nad starcem,
który na Powiślu myśli swe puszcza na Wisłę.
Zwykłe zaklęcia z liści...,

dziecko się skrada,
by upiększyć nimi swój zeszyt do polskiego.
Emigrancie z lotu ptaka,
czemu spadłeś na bruk w Nowym Jorku?
Tego odruchu nie mogę ci wybaczyć...
Po tobie zostało
złamane pióro poety.

WALKA POTOCZNEGO CZŁOWIEKA

Andrzejowi Bursie

Nie słuchaj sokolików, prędzej szpaków,
bo szlacheckie szaty z ciebie zdjęto.
Nie uskarżaj się na kolor rdzy,
sposób na krzyk zostaw w skale.
Obrośnięci jałmużną, zarośnięci w trawach,
wysypują z ust swoich końskie muchy.
Nie staraj się niczego zrozumieć,
pleśń rozkrada terytorium władzy.

Czesława Długoszek, Objazda

NA ODEJŚCIE LATA

dźwięczą ptasie nutki na pożegnanie
przepiórki odwiedziły ostatnie snopy
bukiet ziół święconych usycha za obrazem
w lesie nad parowem kalina jeszcze się stroi

zapach lata nieznośnie się panoszy
uwięziony w słoju
pies na straży skarbów w nostalgię zapadł

Margot Słotwińska, Bydgoszcz

NA STACJI

W czerwcowym słońcu
Pośród omdlewających traw
I kwitnącego żarnowca
Mknie z dala połyskująca
Elektryczna jaszczurka

Wysiadam
Peron radosny
Wdzięczące się kwiaty
W pieszczocie twoich rąk
Maseczka na twarzy
Ten złodziej pocałunków
I tchnienie czasu
Że czekać warto
Na kolory które mi podarujesz
Zielenie, błękity i sjena palona.

17 czerwca 2020 r.

Grzegorz Chwieduk, Kępice

WÓDKA PISZE MU WIERSZE

i to od prawie trzydziestu lat wszędzie
go pełno musi zabrać głos w każdej
sprawie nawet gdy nie ma racji lubi
się spierać to jego znak rozpoznawczy
uparty kozioł z niego uwielbia
błaznować ale dla ironicznego
groteskowego śmiechu wytrwale wysyła
te swoje nastroszone nerwowe produkcje
na różne konkursy literackie i zdobywa
nagrody na podsumowaniach gęba
mu się nie zamyka po to przejechał
pół polski aby go wyraźnie i dobitnie
zapamiętano właściwie jest autorem
tragicznym bo szuka ciągle dziury
w całym zadając i przyjmując ciosy
w miłości mu się nie powiodło jedyna
żona wytrzymała z nim zaledwie
pół roku i wywaliła przez okno jego
wypociny zrobił z siebie pośmiewisko
kiedy zbierał potem na osiedlowym
trawniku porozrzucane rękopisy
takiej zniewagi nie mógł krystynie
wybaczyć całe szczęście że miał do kogo
uciekać przygarnęła go z powrotem
najukochańsza mamusia która mu
obiadki gotowała i robiła pranie takie
prozaiczne życie byłoby strasznie
nudne długo by w domu nie wytrzymał
dostawał takich ataków wścieklizny że
musiał je rozładowywać alkoholowymi
wyprawami do dowolnie wybranych
knajp już nie bawił się w samotne
ssanie procentów nie zmienił się do tej
pory charakter naszego bohatera on
dalej jest sobą dalej krzyczy nalej i dalej
widzi w poezji bolesną misję nie należy
jednak do żadnej grupy poetyckiej jest
mu to niepotrzebne swoje warsztatowe
spotkania uskutecznia najchętniej pod
gołym niebem lecz gdy jest zima albo
deszcz zaprasza też kolesi do gościnnego
lokum tak jest od czterech lat bo nie
ma już kochanej mamusi postanowiła
wyprowadzić się do nieba i tam być
wzorową anielicą chociaż płodnemu
synkowi nawala wątroba on nie może
zrezygnować z chlania przecież nie
przeobrazi się w trzeźwego filozofa
straszącego spokojem

Emilia Maraśkiewicz, Darłowo

BRAK MI...

kłosów chylących się do rąk
mendli związanych szafirem niebios
dłuta wykutego z szarej ziemi

matki - królowej wiosny
nokturnu skomponowanego przez wiatr
westchnienia ziemskiego raju

twarzy ojca nad złotym łanem
słonecznej kuli na lichtarzu wszechświata
gwiazdy twej pieszczotliwej dłoni
otwartej szeroko przestrzeni
śladów ptasich stóp na grzbiecie skib
światła twórczego natchnienia

kołysania na gnącym się lesie
które w okno wpływało szmaragdową falą
a ona na swe dłonie nawijała zorze

***

modlitwa kłosów
odsuwa od gospodarzy
widmo głodu

niezwykłą pieśnią
wydartą z wnętrza ziemi
uraduje całą wieś

gdy niosą plon
na dziewczęcych włosach
drżą złociste wieńce

po zachodzie słońca
między mrowiem gwiazd
kiełkuje nadzieja

miła gospodyni
wynieś w zapasce wódkę
szklankę i słoninę

Regina Adamowicz, Koszalin

GDY CZAS PRZYSTANIE

Gdy przyjdą takie chwile
Że czas przystanie kres się zbliży
By zebrać myśli i sił tyle
Stanąć z pokorą u stóp krzyża

I przyjąć los swój z Bożej ręki
Złym mocom mężnie stawić czoła
By próg przekroczyć i udręki
Z Bożą pomocą i Anioła

Mój Anioł Stróż najlepiej wie
Duszy i ciała zawsze strzeże
Czy mi podpowie chyba nie
Że czas się kończy ja w to wierzę

Tego się w każdej chwili uczę
To nieuchronny ludzki los
Gdy Święty Piotr się zjawi z kluczem
Może usłyszę ziemski głos

Modlitwy tych co pozostali
Dusza pofrunie hen wysoko
I spojrzy na tych co płakali
I tych co suche mieli oko

Życie ze śmiercią wciąż się ściera
Dusza w szczęśliwszy świat odchodzi
Gdy jeden człowiek gdzieś umiera
Następny gdzieś na świat przychodzi

Teresa Nowak, Łupawa

DZIKA RÓŻA

Stara ławeczka pod kruchą gruszą
Przysypana płatkami kwiatów.
Kępa dzikiej róży
(Nie wiem dlaczego dzikiej,
Jeśli od dawna ze mną oswojona)
Bladoróżowym kwieciem obsypana.
Srebrnego piołunu gorzki zapach.
Horyzont zamknięty lasem,
Co ciemną zielenią oddziela
Błękitne niebo od złocistego łanu.
Usiąść na ławeczce, w ciszę się wsłuchać,
Wywołać obrazy, dźwięki i zapachy.
Rozpoznać osoby i dawne obrazy.

Krucha ławeczka pod starą gruszą
Zmurszała, na pędach róży się opiera.
Bo chociaż dzika to jednak wierna
(Dlaczego dzika, gdy matką róż?)
Królową pól, przyjaciółką gruszy,
Powierniczką gorzkiego piołunu.

Halina Staniszewska, Słupsk

NIEUJARZMIONE

jesteśmy ujęci
w ramach
początku i końca
czasoprzestrzeni
wypełnionej iluzją
określaną
rzeczywistością
zarządzaną
przez czas

Anna Boguszewska, Słupsk

KAMIENISTA PLAŻA

W ujściu rzeki Łupawy
Na kanale rowiańskim
Kuter rybacki ciągnie za sobą
Rozdarte lustro wody

Po drugiej stronie kanału
Błyszczy kamienista plaża
Kamienie gładkie i okrągłe
Wygładzone przez wodę
Osuszone morskim wiatrem
Przyprószone mgiełką piasku

Mewy zgrabnie przeskakują
Z kamienia na kamień
Cieszą moje oczy
Błękit Bałtyckiego Morza
Upaja słodkim zapachem bursztynu
Muślinowy piasek niesiony wiatrem
Rzeźbi nowe kształty białych wydm

Jadwiga Michalak, Naćmierz

NIEWIDZIALNY

groźny choć niewidzialny
wywrócił nasze życie

schowani w czterech ścianach
baliśmy się wszystkiego
rękawice maseczki przyłbice
na zewnątrz były potrzebne
w sklepie w urzędzie na poczcie

dzieci uczą się zdalnie
rodzice pracują zdalnie
seniorzy zostają w domach

koronawirus panuje na świecie
cały świat podjął walkę
z wrogiem choć niewidzialnym
dla nas śmiertelnie groźnym

lekarze i pielęgniarki
na pierwszej linii frontu
w kombinezonach od rana do nocy
walczą mężnie z potworem

w dużych skupiskach -
niebezpieczeństwo
każdy chce żyć - szanuje pracę

jeszcze nie ma zwycięstwa
bądźmy przezornie zabezpieczeni
a zwyciężymy wirusa w koronie

LATO Z NIEWIDZIALNYM

morza szum ptaków śpiew...
w tym roku podszyte strachem
wakacje - morze i góry
zalew jezioro inne akweny
lasy i górskie potoki
czekają wciąż na turystów

zielone lato zachęca
do odpoczynku wśród leśnej głuszy
w zgodzie z naturą - tak zwyczaj każe
odwiecznym prawem człowieka

6 lipca 2020 r.

Ireneusz Borkowski, Słupsk

KIELISZEK KONIAKU

Noc cisza nawet ujadające psy
za oknem umilkły
tonę w sen powoli odpływam wsłuchany
jedynie w bijące serce zegara ściennego
nagle grzmot rumor usłyszałem grzech
u sąsiada za ścianą wyobraźnia
pobudza i zasnąć nie daje
pozostaje jedynie kieliszek koniaku na
uspokojenie

CZASEM CZŁOWIEK ŻAŁUJE

Czasem człowiek żałuje że napisał za dużo
czasem nie przemyśli tego co wylewa na próżno
pod wpływem emocji czy też fascynacji
zagubiony gdzieś błądzi szukając celu
którego nigdy nie znajdzie
Czasem człowiek chciałby przeprosić
czasem nie można w sercu błędów nosić
pod wpływem emocji czy też fascynacji
zagubiony człowiek błądzi szukając
przebaczenia
którego być może nigdy nie znajdzie

Zenon Marian Lasoń, Słupsk

SIERPIEŃ 44

W historii wspomnień
Budzi nas Sierpień
Biało - Czerwony
I krzyk Warszawy -
„Do broni Bracia! Do broni!"
Ty chroń Boże
By w zrywie krwawym
Wskrzesić nadzieję...

Warszawa płonie!
I w dzień i w nocy
Wisłą krew płynie
Powstańców młodych
Brzegi są pełne
Łez i rozpaczy

Jak na ironię - znikąd pomocy?

- Warszawa krwawi
- Warszawa płacze

W sierpniowym słońcu
- łzy wysychają
W obliczu wspomnień
- błyszczą sztandary

Tu pod pomnikiem Swych Bohaterów
W płomieniach zniczy Wielkiej ofiary
Sierpień nie zgaśnie w Słupskiej
pamięci

- Warszawa żyje!
- Ojczyzna żyje!

Polscy poeci emigracyjni (polonijni?)i z Litwy w antologii „Pola zlewają się z niebem" - ciąg dalszy ze str. 7

reagowanie na niekorzystne warunki tygla językowego przy całym szacunku do wielojęzyczności, wielokulturowości, która, bez wątpienia, jest bogactwem" - pisze przywołana wcześniej Halina Turkiewicz. Litwa, szczególnie Wilno, Troki i mniejsze miasteczka łączą wiele kultur: litewską, polską, żydowską, ruską, tatarską, karaimską.

Liryki Tamošiūnasa - Tomaszuna mają osobisty ton - który obecny jest w twórczości niemal wszystkich poetów. Poszukiwanie tożsamości kulturowej stanowi problem środowiska polskich poetów na Litwie, o czym pisze Alicja Rybałko: „Nasza „przynależność - nieprzynależność" do kultury polskiej nie ułatwia nam życia. Pytanie, kim jesteśmy, nadal nie znajduje jasnej i wyraźnej odpowiedzi. Polacy, którzy z jakichkolwiek powodów mieszkają poza krajem - to Polonia. To słowo do nas nie pasuje, podobnie jak nie pasuje do Polaków w Grodnie, Dyneburgu czy Lwowie. Czyli udział wileńskich literatów np. w konkursie dla pisarzy polonijnych powinien być wykluczony? To nie my? Nie dla nas?... Albo taki „Słownik pisarzy polskich na obczyźnie". Tu też nie powinniśmy z zasady należeć. Najbardziej uświadomił mi tę zawikłaną sytuację pewien wydawca z Gdańska, który powiedział, że wprawdzie panią Rybałko zna i ceni, ale tym niemniej fundusze wydawnicze, którymi dysponuje, mogą być przeznaczone wyłącznie dla poetów polskich. Przyznam, że poczułam się lekko bezdomna..."

Przeciw „bezdomności" poetów polskich z Litwy wyszła słupska, corocznie wydawana, antologia, na łamach której poeci z Litwy są gorąco witani. Z uznaniem dorobku starszej generacji i z nadzieją na rozwój talentu najmłodszych. Dwudziestoletni Daniel Dowiejko, laureat konkursów poetyckich, przedstawia w antologii cztery utwory: „Na mojej ziemi", „Anioły", „Kto żyje poezją?" i „Wertując wehikuł czasu". Ostatni liryk z pomysłowym tematem analizy wakacyjnej kartki pocztowej od „mojej panny" został ładnie skomponowany i zmetaforyzowany. Kartka pocztowa jako „papierowy wehikuł czasu". Podoba mi się metafora. Do młodych zaliczyć trzeba również Tomasa Tamošiūnasa, trzydziestolatka, którego debiut poetycki miał miejsce w 2012 roku. Podejmuje w twórczości uniwersalne wątki, pisze o pozycji kobiety w staro-nowym świecie („12 głównych ról") i o poezji:

„Poezja na szarych ścianach
osiedlowych bloków

Na berlińskich murach
cudzego sumienia
modlitwy
tęsknoty

Na nieistniejących szkłach
wieżowców New York'u

U nas
wiersze się pisze
na byle jakim
nawet na toaletowym papierze
na drewnianych płotach
i na jezdni
pomiędzy horyzontem
a ciemnością

Tylko w sercu piszę z tęsknoty
na biało-śnieżnych kartkach
czytając twoją nagość"

Nie sądzę, by rację miała Alicja Rybałko, skarżąca się: „Brak nam siły przebicia, nie stosujemy umiejętnej reklamy, a może pogodziliśmy się z tym, że już na zawsze jesteśmy „z Wilna" i nie ma co szukać szczęścia na szerokim świecie." To nieprawda, zdaje się pisać młody poeta, bo „U nas wiersze się pisze...". Poezja wszędzie jest lekturą wyjątkową, ale kiedy się w niej kto rozsmakuje...

Czesława Długoszek, Objazda

Witold Gombrowicz - niedoszły noblista

W maju 1967 roku Witold Gombrowicz otrzymał Międzynarodową Nagrodę Wydawców Prix Formentor. Istniały poważne szanse na nagrodę Nobla, co wzbudziło duży niepokój komunistycznej służby bezpieczeństwa i zawiść literatów krajowych

Los przepołowił życie Witolda Gombrowicza na dwa odrębne okresy: 1904-1939 - kraj, dom, rodzina, przyjaciele, koledzy, profesorowie, artyści, pisarze. Cała polska rzeczywistość tych czasów i cała, zdawałoby się, młodość. I lata: 1939-1969 - obcy, daleki świat, i inna kultura, inne nacje, inny klimat, przyroda. Absolutna niezależność, swoboda od więzów statusu obywatela państwa i członka narodu. Argentyna i epilog - Berlin i Francja.

Wczesny rozwój jego inteligencji wyraził się w poszukiwaniu wyjścia z dylematu świadomości dążącej do przekroczenia swego ograniczenia. Wymagałoby osobnych rozważań - jak to przebiegało w jego umyśle, w jego odbywaniu życia. Jak ukazać jego walkę z konwencjonalnością, wywodzącą się ze wzmożonego poczucia inności, samoistnej egzystencji, tyle realnej, co i nieuchwytnej, z autokoncentracji tworzącej promieniujące jądro - „Ego". A następnie, jak przedstawić jego wojnę z niebytem. Wcześnie już stanęło przed nim skrystalizowane zagadnienie: człowiek - twór anatomiczny, zestrój cząstek materialnych, egzemplarz rodzaju i „potomek", a więc „ogniwo". I znowu najważniejsze, najbardziej rzeczywiste „ja" - niby przeciwstawne tej cielesnej, gatunkowo jakby podrzędnej stronie, a tak z nią integralne. Jak to rozumieć, jak z tym żyć? Jak się ustosunkować do tego „najważniejszego"? - Pragnienie - to prawie wiara. Nie ma dla niego słowa „przemijanie". Jest młodość - wiecznotrwała, niewyczerpalna (póki jest) jak słońce i tak samo rozrzutna. Z młodością kojarzy się zdolność otwierania się coraz dalszych horyzontów. Przekraczanie każdoczesnych granic. Docierać do nich, otrzeć się o nie, odczuć, że to nie koniec, tylko granica, poza którą jest „dalej". Najdziwniejsze, najpiękniejsze i razem

najbardziej twórcze - to poczucie transcendencji. Nie konkretyzującej się, rzecz oczywista w system, lecz będącej dążeniem, artyzmem.

Witold Gombrowicz urodził się 4 sierpnia 1904 roku w Małoszycach pod Opatowem jako syn ziemianina i przemysłowca. Wywodził się ze starej rodziny szlacheckiej osiadłej do 1863 roku na Żmudzi, którą musiała opuścić po powstaniu styczniowym i zamieszkała w Kieleckiem. W wieku siedmiu lat przeniósł się z rodzicami do Warszawy, gdzie ukończył Gimnazjum św. Stanisława Kostki i studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim. W szkole, jak i w czasie studiów nie udało mu się nawiązać trwalszych stosunków z rówieśnikami, nie mówiąc już o przyjaźni. Zawsze pozostawał na uboczu, nie włączał się we wspólne zabawy i zajęcia. Zaraz po ukończeniu studiów w 1927 roku wyjechał do Paryża, gdzie studiował filozofię i ekonomię. Po powrocie krótko pracował w sądownictwie warszawskim, po czym całkowicie poświęcił się literaturze.

Debiutował zbiorem opowiadań „Pamiętnik z okresu dojrzewania" (1933), następnie wydał powieść „Ferdydurke", która przyniosła mu uznanie krytyki. Od 1934 roku współpracował z pismami codziennymi i literackimi, zajmował się krytyką literacką, pisał felietony i recenzje. Wchodził wówczas w świat młodych literatów, często widać go było przy stoliku w kawiarni Ziemiańska na Mazowieckiej, a później w Zodiaku na Traugutta. Rozprawia tam, dyskutuje, dużo pali, systematycznie też popija. W pamięci ludzi, z którymi się wtedy spotykał, zapisał się jako wyniosły, wręcz niesympatyczny, nonszalancki pozer. Przed wybuchem wojny ogłasza jeszcze sztukę „Iwona, księżniczka Burgunda", publikowaną przez Skamandra w 1938 roku oraz pod pseudonimem Zdzisław Niewieski (psudonim utworzony od rzeki Niewiaży na Żmudzi), powieść sensacyjną „Opętani", która drukowana była w prasie codziennej. W sierpniu 1939 roku pisarz popłynął statkiem „Chrobry" do Argentyny, tam zastał go wybuch drugiej wojny światowej. Gombrowicz nie chciał wracać do ogarniętej wojną Europy i zdecydował się pozostać w Argentynie. Zamieszkał w Buenos Aires, gdzie pozostał aż dwadzieścia cztery lata. Stara się tam nawiązać stosunki, znów przesiaduje w kawiarniach, boryka się z trudnościami finansowymi. Jego źródło utrzymania stanowią zasiłki, pożyczki, liczy na gest ze strony życzliwych mu ludzi. Początkowo mieszka w wynajętym pokoju, później przenosi się do tanich hotelików, często ucieka chyłkiem, nie płacąc za nie. Żyje w coraz bliższych kontaktach ze światem marginesu społecznego. Wyrzucony w końcu na bruk, mieszka w opuszczonym domu poza Buenos Aires. Ma wówczas pewne epizody homoseksualne, choć w perspektywie jego życia przeważają kobiety - zwłaszcza prostego pochodzenia, nawet prostytutki. Twierdzi bowiem, że w związki z kobietami z wyższych sfer trzeba się za bardzo angażować, a w Argentynie, kiedy sięga niemal dna, już takie się nim nie interesują. Ewentualnie dużo starsze, które z kolei on lekceważy. Jednak to właśnie kobiety mu wówczas najbardziej pomagają, z czego Gombrowicz chętnie korzysta. Te dwadzieścia cztery lata przeżył głównie dzięki dobroci i życzliwości innych ludzi.

Dopiero po kilku latach takiego życia i dorywczego zarobkowania, np. pisania artykułów do prasy, podjął pracę sekretarza dyrekcji w Banku Polskim w Buenos Aires (1947-1953). Praca ta była dla niego koszmarem, ale dzięki niej mógł się utrzymać. Zrezygnował z pracy w banku w 1955 roku, kiedy jego utwory były już znane na całym świecie. Odtąd utrzymywał się ze stypendiów i prywatnych wykładów filozofii, dochody czerpał również z wydań i wystawień swoich utworów w ponad dwudziestu krajach. Od 1951 roku współpracował już z Instytutem Literackim w Paryżu, który stał się wydawcą jego utworów, a następnie z miesięcznikiem Kultura. Międzynarodową sławę przyniosły mu napisane wówczas: dramat „Ślub" i powieść „Trans-Atlantyk" - wydane łącznie w Paryżu w 1953 roku. Zaczął się także ukazywać pisany od 1953 roku jego „Dziennik" i pojawiły się kolejne utwory: w 1960 roku powieść „Pornografia", w 1966 - powieść „Kosmos" i w 1966 - dramat „Operetka" wydany wraz z trzecim tomem „Dziennika". Po śmierci autora nakładem Instytutu wyszła także edycja „Dzieł zebranych".

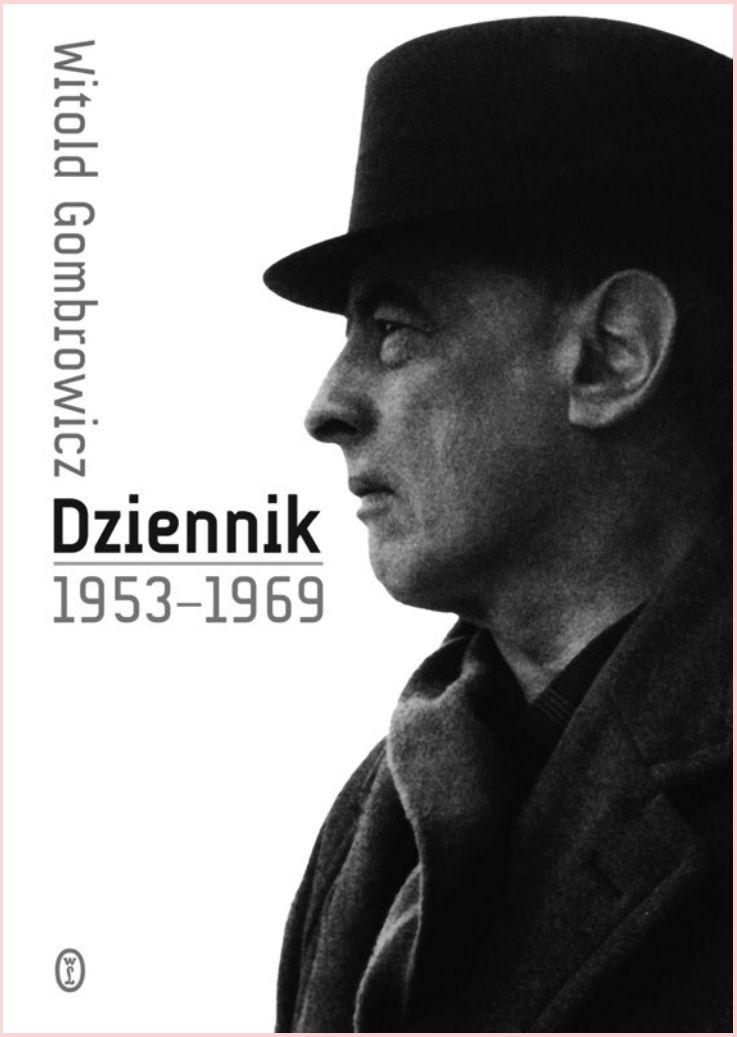

W 1963 roku dzięki rozgłosowi, jaki przyniosły pisarzowi jego książki, uzyskał roczne stypendium Fundacji Forda na pobyt w Berlinie Zachodnim, skąd przeniósł się w 1964 do Royaumont pod Paryżem, a następnie do Vence, w okolicach Nicei. We Francji mieszkał już do śmierci, choć były to lata poważnej choroby, kiedy stan jego zdrowia pogarszał się z każdym rokiem. Jeszcze wówczas pisał, choć coraz mniej, później już tylko dyktował. W 1968 roku poślubił kanadyjską romanistkę Marię Ritę Labrosse. W tym samym roku był także kandydatem do Nagrody Nobla, której jednak nie otrzymał. Zmarł w Vence 25 lipca 1969 roku na niewydolność płuc.

Po śmierci pisarza Rita Gombrowicz z oddaniem propagowała twórczość męża, publikując m.in. dwie dokumentalne książki - „Gombrowicz w Argentynie" (1984) i „Gombrowicz w Europie" (1988). Gombrowicz zaistniał wyraźnie w literaturze światowej w latach 60. ub. stulecia. Jego utwory przekładano wówczas na wiele języków (m.in. japoński), inscenizowano, komentowano i nagradzano. Pisarz udzielał licznych wywiadów, w tym rozbudowanych do rozmiarów książki „Rozmowy Gombrowicza z Dominikiem de Roux", które w rzeczywistości od początku do końca napisał sam.

W Polsce w latach PRL-u dostęp do twórczości pisarza był zdecydowanie ograniczony. W latach 80. liczne były natomiast wydania jego utworów w drugim obiegu (podziemne), oficjalna i ocenzurowana edycja „Dzieł"' została zapoczątkowana w 1986 roku. W celu uczczenia setnej rocznicy urodzin pisarza, rok 2004 Sejm RP ogłosił Rokiem Witolda Gombrowicza. W tym roku mija pięćdziesiąt lat od śmierci tego wielkiego pisarza.

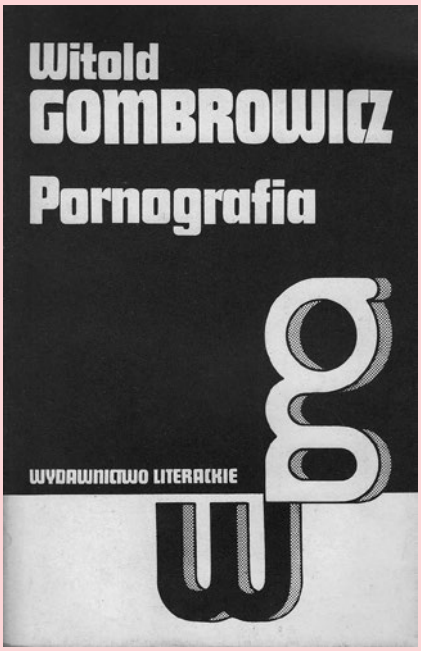

Jedną z najbardziej rozpoznawalnych powieści Gombrowicza jest „Ferdydurke". Krytyk literacki L Fryde zaraz po ukazaniu się książki napisał: „Mądrość Ferdydurke! Samo zestawienie może wydać się niedorzeczne. A przecież tak jest: powieść Gombrowicza błyszczy prawdziwą mądrością życiową'. Utwór ten zwraca bowiem uwagę na ważne problemy natury społecznej, obyczajowej i psychologicznej. Pisarz, przyjmując krytyczną, refleksyjną postawę wobec świata, wypowiada się na tematy zasadnicze dla całej naszej kultury, czyli „nieprzebranego bogactwa zjawisk: narodów, epok, stylów, obyczajów, gestów ohydnych i wzniosłych". Zasadniczym celem wyrażanym w utworze jest walka z formą - walka wypowiedziana przez pisarza i stawiana za obiekt dążeń każdemu czytelnikowi. Gombrowicz jawi się w świetle swej powieści jako wielki demaskator społecznych masek, przeciwnik wielkiego fałszu i zakłamania. Zdaje sobie, co prawda sprawę z tego, że człowiek nie może być nigdy w pełni autentyczny, jednak każe mu o tę autentyczność walczyć. Mobilizuje nas do tego, aby podejmować trud walki o prawdę, walki heroicznej, bowiem niemożliwej do wygrania, jednak to ona właśnie pozwoli uratować od zagłady naszą osobowość, dzięki samej woli autentyczności i głębokiemu przekonaniu, że chcę być sobą, uparcie i wbrew wszystkiemu. W rozumieniu Gombrowicza klęską jest bowiem niepodjęcie żadnej walki, bezwolne poddanie się schematom, bezkrytyczne uleganie formie, nakładanie kolejnych masek. Bohater „Ferdydurke" Józio, porte-parole samego autora wypowiada słowa, które powinny stać się drogowskazem dla każdego człowieka, nie tylko pisarza: „Ach, stworzyć formę własną! Przerzucić się na zewnątrz! Wyrazić się! Niech kształt mój rodzi się we mnie, niech nie będzie zrobiony mi!"

Pisarz wysoko stawia poprzeczkę swemu czytelnikowi, ośmiesza schematy, które każdy z nas przyjmuje i konwencje, którym ulega, zwraca też uwagę na naszą psychiczną i społeczną niedojrzałość. W komentarzu do swojego utworu Gombrowicz pisze: „Człowiek jest dziś bardziej niż kiedykolwiek zagrożony sferą niższą, sferą nieposkromionych instynktów, zarówno własnych, jak i obcych. Zakłócenie dotychczasowej hierarchii w jednostce i społeczeństwie sprawia, że ten ciemny ocean treści niedojrzałych, dzikich napiera coraz mocniej, wtrącając nas jak gdyby w powtórny okres dojrzewania".

Czytając Gombrowiczowską „Ferdydurke" podejmujemy wyzwanie, które stawia przed nami pisarz - uczymy się walczyć ze schematami i stawiamy tym samym pierwsze kroki na naszej drodze ku dojrzałości. Od nas tylko zależy, czy odrobimy zadaną nam w literackiej formie lekcję. Twórczość Gombrowicza cechuje głęboka analiza psychologiczna człowieka jako uwikłanego w spuściznę kultury i w innych ludzi, analiza tożsamości jednostki w interakcji z innymi, problemu niedojrzałości i młodości, ról klasowych, a także poczucie absurdu, obrazoburstwo względem przyjmowania przez społeczeństwo tradycyjnych wartości, antynacjonalizm i krytyka romantyzmu. Te elementy przeplatały się w jego najważniejszych utworach: powieściach „Ferdydurke" (1937), „Trans-Atlantyk" (1953), „Pornografia" (1960) i „Kosmos" (1965) oraz dramatach, m.in. „Iwona, księżniczka Burgunda" (1938), „Ślub" (1953). Po „Październiku 1956" cztery książki Gombrowicza ukazały się w kraju, a ich autor zyskał duży rozgłos.

Niestety, po roku 1958 władze w kraju nie zezwalały na druk następnych książek. Gombrowicz zyskał natomiast w latach 60. światową sławę, uwieńczoną tłumaczeniem dzieł, także kolejnych powieści: „Pornografii" i „Kosmosu", oraz realizacjami teatralnymi jego dramatów, szczególnie we Francji, Niemczech i Szwecji. Kiedy w 1963 roku powrócił do Europy, otrzymawszy stypendium Fundacji Forda na pobyt w Berlinie Zachodnim, władze komunistyczne w Polsce zareagowały kampanią przeciw pisarzowi. W maju 1967 roku otrzymał Międzynarodową Nagrodę Wydawców Prix Formentor. Istniały poważne szanse Gombrowicza na nagrodę Nobla, co wzbudziło duży niepokój komunistycznej służby bezpieczeństwa i zawiść literatów krajowych. Według słów Rity Gombrowicz, gdyby nie śmierć, jej mąż otrzymałby nagrodę Nobla w 1969 roku. Po długich negocjacjach z władzami PRL w 1986 ukazało się w krakowskim Wydawnictwie Literackim pierwszych dziewięć tomów dzieł Gombrowicza, uszczuplonych przez cenzurę o szesnaście wersów wykreślonych z „Dziennika", a dotyczących polityki i systemu władzy w ZSRR. Dzieła te poszerzone zostały w latach 1992-1997 do piętnastu tomów.

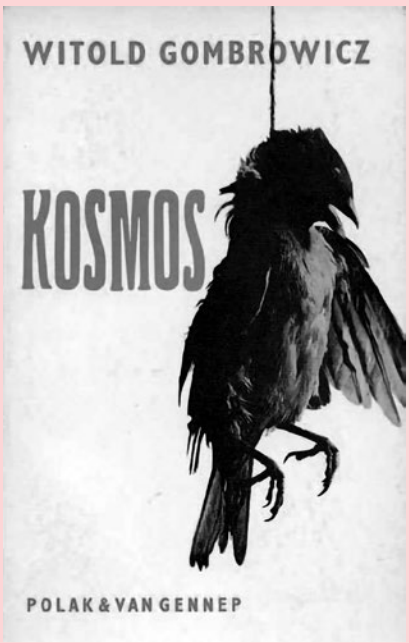

W wolnej Polsce utwory Gombrowicza ukazywały się wielokrotnie drukiem, a na ich temat powstało kilkadziesiąt tomów studiów i niezliczone artykuły. Jego poglądy polityczne były trudne do określenia. Francuska lewica entuzjastycznie odnosiła się do jego twórczości, on jednak pozostawał krytyczny wobec zachodniego marksizmu. Jego poglądy w kwestiach społecznych i obyczajowych były dalekie od konserwatyzmu.

Jadwiga Michalak Naćmierz

Tekst powstał na podstawie informacji z Wikipedii oraz książki: Tadeusz Kępiński, „Witold Gombrowicz i świat jego młodości", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974.

Nie podglądaj mnie...

Zofia Chądzyńska - polska pisarka i tłumaczka, żyjąca w Argentynie dobrze rozumiała Witolda Gombrowicza. Raz tylko udało się jej ujrzeć „nagą - katastroficzną twarz pisarza", jak się wyraziła

W skromnym otoczeniu, zaproszony pisarz odszedł od stołu, opuścił salon gościnny i schował się w innym pomieszczeniu. Znane aktorskie igranie było mu nieobce w różnych towarzystwach. Święcił w nim triumfy i odnosił też porażki, choć nikt się tego nie domyślał. Pomagało mu to przetrwać wewnętrzne niepokoje w Argentynie. A jednak Gombrowicz się skrajnie dusił, chociaż wierzył i był przekonany o swoim posłannictwie i talencie. Czytanie jego „Dzienników" w Polsce, a czytanie poza krajem, na emigracji, na obcej ziemi, przynajmniej dla mnie było sporą różnicą w odbiorze.

Witold Gombrowicz zawsze był mi bliższy z wiedeńskiego, austriackiego podwórka niż z polskiego. Ja powróciłem do kraju, on nie zdążył, nie było mu to pisane. Najbliżej Polski był w Berlinie, ale na drodze była komunistyczna NRD. Nie chcę się przyrównywać do Gombrowicza, bo gdzie mi do niego, ale swoje na emigracji też przeżyłem. On miał totalny ciąg do sławy, a ja potrzebowałem normalności. On miał swoją regułkę, niczym życiowe motto: „Pisarzem jestem na papierze, materialnie - zerem". Ja mogę o sobie powiedzieć: - jestem pisorzem a nie pisarzem, bo pisarz wydaje książki, a ja ich nie mam za wiele.

Mimo to rozumiem niedostatki Gombrowicza i zaraz jego historię kojarzę z Markiem Hłasko, który chciał powrócić do komunistycznej Polski, a nie wiem czy tego samego chciał Witold Gombrowicz? Mój powrót z Wiednia nastąpił w lipcu 1994 roku. I czy czuję się dzisiaj człowiekiem wolnym? Czy czuję się wolnym poetą? Na czym powinna polegać ta moja wolność? Retoryczne pytanie? Ale odpowiem: jak we współczesnym świecie można czuć się wolnym bez środków do życia? Nawet, jeśli sporo pracuję intelektualnie, piszę dużo wierszy, układam je w kolejnych teczkach z nadzieją, że kiedyś je wydam, to nie czuję się wolnym. Bo jeszcze ich nie wydałem i też jestem materialnym zerem.

Witold Gombrowicz odszedł od towarzystwa w ustronne pomieszczenie i podobno na dłużej zapatrzył się w okno. O czym wtedy myślał? Czy jeszcze wierzył w uwieńczenie go Nagrodą Nobla przed śmiercią? A może tylko wmówił sobie, że powinien tę nagrodę dostać? Czy wiedział wtedy, że o wszystkim decyduje polityka, układy? Opanowała go naiwność czy swoista romantyczność, dość trywialna jak na jego wiek? A przecież był mistrzem w roli prześmiewcy!

Był taki propolski, że nie mógł uwolnić się od niewidocznych kajdan, które ostatecznie zniszczyły mu życie. Tak wynika z jego pisarstwa. W owym mieszkaniu, pomiędzy jednym a drugim pokojem, drzwi były otwarte, Zofia Chądzyńska spojrzała wówczas z odległości na twarz pisarza i, jak się wyraziła, pierwszy raz ujrzała tę „nagą twarz - katastroficzną". Gombrowicz podobno natychmiast zareagował: - „Nie podglądaj mnie!" Trafnie powiedział, bo pisarz nie jest manekinem na wystawie w sklepie. To żywy człowiek, podobno nawet po śmierci.

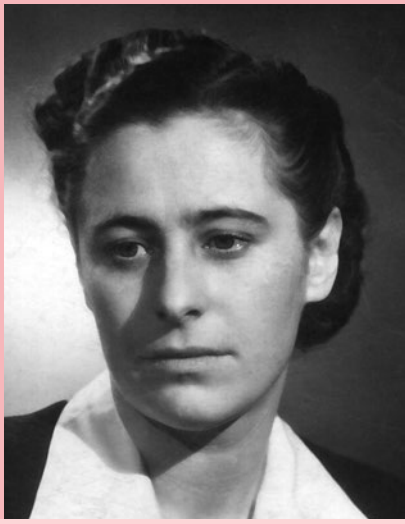

Zygmunt Jan Prusiński
Ustka

PRZYPOMNIENIE

Szmery umierającego miasta

Dariusz Tadeusz Lebioda to bystry obserwator, literacki pejzażysta, który swymi niekłamanymi obrazami poetyckimi Nowego Jorku i z Nowego Jorku, trafia w wyobraźnię czytelnika. Ponadto dokumentuje i uwiarygadnia swą obecność w Ameryce, w którą potrafił się wtopić i przez to ją lepiej poznać

Fot. wikipedia.org

„Świat wydarzył się we mnie" - strofa ta pochodzi z tomiku wierszy Dariusza T. Lebiody, noszącego tytuł „Czaszka Kartezjusza". Tomik wydało Wydawnictwo IbiS z Warszawy w 2003 roku. Zbiorek ten otrzymał nagrodę Światowego Dnia Poezji w 2003 roku, zorganizowanego przez UNESCO i periodyk Poezja Dzisiaj. Zawarte w nim wiersze są jednocześnie przełożone na język angielski i francuski. Projekt okładki zaproponował sam autor, umieszczając na niej fragment obrazu Salvatore'a Dalii pt. „Atomowa Leda".

Część tomiku zatytułowana „Muszla" zawiera wiersze, które powstały podczas pobytu autora w Stanach Zjednoczonych. Tam poeta poznał rzeczywistość zupełnie inną od europejskiej. „Amerykańskimi" wierszami snuje poetyckie opowieści, wytwarzając taką scenerię ducha u czytającego, jakby on sam tam był i przeżywał to, co ich autor. Przykładem wytworzonego nastroju jest wiersz „Kamienie z Central Parku".

„...przywiozłem z central parku garść kamieni
leżały w Ameryce miliony lat czekając na moją rękę (...)
kamienie z central parku takie ciepłe i takie zimne
niczym ludzie - tacy żywi a później tacy martwi

Niby nic szczególnego, kamienie - wszędzie są podobne.
Jednak ten makijaż powątpienia, że co by z nimi się stało,
gdyby poeta ich nie podniósł i nie wsadził do swojej kieszeni!
przeleciały ze mną przez /atlantyk/ teraz leżą na półce
i na niej zostaną."

Pozwolę sobie powiedzieć, idąc za przesłaniem poety, że kto kocha kamienie ten jest wrażliwym człowiekiem! Po prostu, kamień mówi, ma swój zarys życia i taką ważność. Sam zbieram kamienie, fascynują mnie swą zawartą w nich nieodgadnioną tajemnicą.

W innym wierszu „Samotność w Nowym Jorku" czytamy:

„...płyną legiony żywych ludzi
a ty stoisz w centrum świata
i słuchasz Inków grających na fletni pana..."

Metropolia nowojorska obezwładnia. Pojedynczy, samotny człowiek jest w niej niczym główka komara. Mieszkaniec tego miasta zapędzony w sieci czasu, wygląda jak plama ofiary schwytanej przez pajęczynę. Jest jak ofiara, na którą nikt z wielkich, możnych mieszkających w tym mieście nie zwróci najmniejszej uwagi. Bo być biednym w Nowym Jorku, to znaczy nigdy nie śnić, nigdy nie pragnąć... Oprócz straceńców, co mimo wszystko to czynią, bowiem świadomie wybrali to miasto, w którym dominuje szybkie życie. To nic, że potem przeklną swój los, który ich tu zawiódł. Bo twardy nowojorski bruk, na który siłą rzeczy trafili, ma swoje kolory i nie każdą stopę akceptuje. Do tej sytuacji nawiązuje poeta w wierszach: „Biedak czytający Szekspira" i „Miss America".

Z kolei w wierszu „Jadąc autobusem z Port Autority", poeta pokazuje, jakie to trudne drogi prowadzą ku szczęściu, a... najtrudniejszą jest ta, którą idziesz, wierząc, że to ona jest właściwa.

„...nigdzie nie znajdziesz tylu zagubionych ludzi
nigdzie nie spotkasz tylu nieznajomych tylko
w Nowym Jorku poczujesz bliskość obcego człowieka
tylko tutaj odrodzisz się i umrzesz w jednej chwili"

To, co przyciąga ludzi do tego wielkiego miasta? Dlaczego tak licznie obcokrajowcy zjeżdżają do niego? Co powoduje to zauroczenie nim? Na pytania te poeta odpowiada w wierszu „Dom milknącego ptaka":

„...dom który ma dach ze sklepienia nieba
i gwiezdnej chwili (...)
dom w którym się żyje i
z którego tylko cień odchodzi bez pożegnania..."

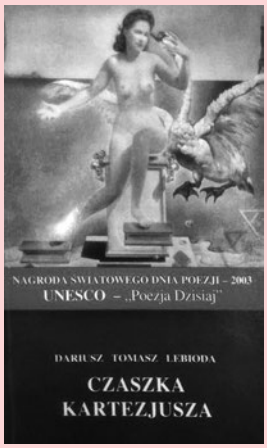

Przyznam się, iż ta „amerykańska" poezja zawarta w części wspomnianego tomiku zaskoczyła mnie. Dariusz T. Lebioda to bystry obserwator, literacki pejzażysta, który swymi niekłamanymi obrazami poetyckimi Nowego Jorku i z Nowego Jorku, trafia w wyobraźnię czytelnika. Ponadto dokumentuje i uwiarygadnia swą obecność w Ameryce, w którą potrafił się wtopić i przez to ją lepiej poznać. Przy okazji dać w tym kontekście odpowiedź na pytanie, kim jest człowiek, zwłaszcza ten szukający swego miejsca w obcym i często nieprzyjaznym mu świecie?

Szkoda jednak, że autor „Czaszki Kartezjusza" nie poświęcił całego tomiku swym przeżyciom w Ameryce, bowiem pozostałe części zbioru, nie mają już takiej dynamiki i przesłania umieszczonych w nich wierszy nie trafiają do mnie, nie pobudzają mojej wyobraźni i wrażliwości. A temu poezja ma przede wszystkim służyć.

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

Dariusz T. Lebioda: „Czaszka Kartezjusza", Wydawnictwo IbiS, Warszawa 2003.

Fot. Arch. L. A. Bledzkiego / wikipedia.org

Robuś i one

Zapach. To jest to pierwsze, co człowieka tutaj osacza. Zapach środków dezynfekcyjnych zmieszany z zapachem starości: niewietrzonych ubrań, niedopranych ręczników, próchniejących mebli

Urzędowa zieleń wije się po ścianach, zasłony wesołe, aż do przesady, ale wbrew tym oficjalnym niejako oznakom szczęścia - smutek. To ten zapach i te oczy. Oczy wyblakłe, już teraz nie wiadomo - szare, niebieskie czy piwne- obserwujące przybysza, wyczekujące, zaciekawione, ale i jakby zastrachane.

Idę miękkim korytarzem, szpalerem tych oczu nieomal niewidocznych, a jednak nachalnych. Niektórzy siedzą na stołeczkach przed drzwiami swoich pokoi, jakby się bali, że jakaś nowość ich ominie, że to ważne nie znajdzie ich za drzwiami. Inni siedzą w jadalni, wpatrzeni w ekran telewizora, przez który przesuwa się inne, gwarne, bogate życie.

- Mamy też i pojedyncze pokoje - mówi dyrektor - ale mało. Przydzielamy je chorym albo uciążliwym we wspólnych pokojach, albo po prostu najdłużej tu mieszkającym.

- O, tu właśnie mieszka babcia Marianna. Tak ją wszyscy nazywamy. Otwiera drzwi. Standard urządzenia złagodzony dzbanuszkiem niebieskim, w którym chwieje się bukiet suchego zboża, traw srebrzystych i drobnych żółtych kwiatuszków. Przez lufcik wpada prąd zimnego powietrza i rozczesuje te trawy.

Ona podnosi oczy - oczy jakby za szkłem. Dwa siwe pasma włosów rozdzielone starannie, przytrzymuje chustka krakowska związana na kokardkę pod różową, okrągłą brodą.

* * *

Dyrektor: - Pozwoliliśmy babci Mariannie na trzymanie tu własnej komody, na ustawienie własnych drobiazgów. Babcia, niechże babcia opowie panu o swoim życiu!

- Moje życie? Cóż kogo obchodzi moje życie? Tli się i tli, jak ten torf pod blachą. Jak się trafi taka pogrzewna bryła, to noc minie, zimno już na kuchni, myślisz popiół, a poruszysz pogrzebaczem, a tam jeszcze żar. Tak i ze mną. Osiemdziesiąt lat już minęło, tyle ludzi już przeszło koło mnie, a ja się kołaczę.

Głos ma niezrównoważony, trochę niby zachrypnięty, ale od czasu do czasu wystrzela w nim jakiś ton wysoki.

Dyrektor stoi w progu niezdecydowany. - Odszukam pana za jakąś godzinkę, jeśli pan pozwoli i jeśli pani zechce ze mną pomówić. - Pomówić? A o czym pan ma mówić ze starą babą!? Mnie już ten świat niewiele obchodzi, a pana cóż ja mogę obchodzić?

- Pani z daleka?

- Jak tu odpowiedzieć? Przez osiemdziesiąt lat to można świat obejść. Obeszłam i ja kawał świata, zanim tu przyszłam.

Sięga po album staroświecki, zeszyty sznurkiem - z grubych kartonów. Każda fotografia ma w nim ramkę osobną, obrysowaną secesyjną ozdóbką.

- To mój ojciec, jak przyszedł z wojny. W carskim mundurze. A to mama. I my, pięcioro nas było. Kartki lecą z szelestem, zakrywają sylwetki ludzi w staromodnych ubraniach. Męża miałam pijaka, choć urzędnikiem był na państwowej posadzie. Zginął marnie: wpadł po pijanemu pod pociąg, nogi mu obcięło - i został. Ale my już nie byliśmy wtedy razem. Zostawiłam go, gdy mój synek umarł. Doktor powiedział, że wrzody, które od urodzenia miał, to przez ten alkoholizm. Znienawidziłam go - i poszłam. Sklep prowadziłam. A właściwie pracownię kapeluszy. Aż do wojny. Ale w wojnę nikt kapeluszy nie nosił. A i mnie się życie odmieniło.

Twardy i suchy szelest kart.

- O, widzi pan? To Robuś. Tłusty nagus z wypiętym tyłkiem na kożuchu. Śliczny, prawda? Tu już Robuś ma roczek i ciałka nabrał, bo gdy jego matkę zabrali, a ojca, który za nią się wstawił, zastrzelili, to miał osiem tygodni. I został z babką, prawie taką starą jak ja teraz i schorowaną. Było to już niby po końcu wojny. Niemcy ich zabrali, znaczy całą rodzinę, do Prus Zachodnich na roboty. Rosjanie tuż po wyzwoleniu zabrali się za rozbiórkę szlaku kolejowego Bytów-Lębork, linia numer 237. To się działo w Soszycy nad Słupią. Ona zawsze była atrakcyjna. Wpadło dwóch żołdaków i od razu do niej. Ojciec Robusia stanął w obronie. Zastrzelili jak psa, a ją zabrali. Jak go zobaczyłam, Robusia, znaczy się, chudziutkiego jak palec, to mnie taki żal zdjął, że o mało mi serce nie pękło. Ale i odwaga we mnie wstąpiła i siła. Szmuglowałam ja, szyłam, robiłam na drutach, ale dziecku niczego nie brakowało. Ile ja nocy nie przespałam, ile kilometrów z plecakiem zrobiłam, proszę pana! Ale za to, gdy Robuś mnie zobaczył, pędził, jak szalony: Ciocia! Ciocia! Jak dobrze!

- Albo nocą siedzę i patrzę, a ono oddycha równiutko, buzia różowa, włoski złociste na poduszce, rączka zwinięta w piąstkę. To tak mi dobrze, tak dobrze, że do dziś, gdy sobie wspomnę, ciepło mnie ogarnia. A mądre, a roztropne to było dziecko. Na wszystko ma odpowiedz gotową. A gdy coś stłucze, albo spsoci, to rączyny składa i przeprasza. Dobrze nam było razem. I myślałam, że tak będzie zawsze, on będzie rósł, ja będę pracowała, jego matka - jak Bóg da - wróci i będzie nam dobrze. I wróciła.

* * *

Obca, wysoka, blada kobieta stoi w progu. Wyciąga chude ręce. Strach.

- Ciociu! Ciociu! - i tuli się do mnie. Do biskiej, ciepłej znajomej cioci Marianny. On był do mnie przyzwyczajony, a jej nie znał. Ale przecież przyzwyczaiłby się i do niej.

Matka Roberta, pani profesorka, osoba wykształcona, uważała, że dziecko jest rozpieszczone, że złe wychowane. Powinien się gimnastykować, pływać, uczyć się języków.

- Proszę, pani, przecież to kruszyna, jeszcze nie ma sześciu lat.

- Właśnie teraz jest najlepsza pora na to.

- Robuś do mnie się garnął, a od niej uciekał. I przez to pewnie przyszedł ten dzień, a właściwie ta noc. Wieczór był, pamiętam. Lampa się paliła, dziecko spało w cieniu, a ona siedziała w świetle. Ręce splotła, o mało palców nie połamie.

- Pani Mario, powiada - muszę z panią pomówić. A moje serce już trzepocze, już wie, co to będzie za mowa.

- Mam jednego syna i nie mogę go stracić. To jest moje dziecko, ja jestem odpowiedzialna za jego wychowanie. Wiem, ile pani zawdzięczam, ale musimy się rozstać. Pani nie może tutaj pozostać.

Stara kobieta chwieje głową. Oczy blade, zamglone podnosi. Widzi pewnie ten wieczór letni, a taki zimny, kiedy zamknęły się tamte drzwi.

* * *

- Gdzie ciocia? Gdzie jest moja ciocia? Nigdy cię nie będę kochał, jak nie zawołasz cioci! A potem bicie nogami w podłogę, długie, długie, daremne. I szloch aż do zupełnego wyczerpania - daremny.

* * *

Przyszedł kiedyś do mnie z laurką na imieniny. Nóżką szastnął, wierszyk powiedział, słowa połyka z podniecenia, ale na nią, na matkę - znaczy się - patrzy. Porwałam go i przytuliłam. Robusia najmilszego, ale ona nas skarciła: - Pani Mario, bez zbytnich czułości. Robert jest już dużym chłopcem! I tak oto zaszło słonko mojego życia. Tylko ten album mi pozostał. Przeglądam go - i tak, jak inni na telewizję patrzą, ja swoje dawne życie oglądami przy tych myślach się grzeję...

* * *

Moja sztywna, zimna surowa matka. Oczywiście chciała jak najlepiej. Wybrała mi zawód - prawo, choć kochałem muzykę. Wybierała mi kolegów - układnych i przemądrzałych, a przepędzała wesołych i szczerych chłopaków z podwórka. Byłem dla niej wiecznym kłopotem, nigdy nie dorosłem do wzorców, które mi stawiała, nigdy nie zaspokoiłem jej ambicji. Nie skończyłem prawa, nie skończyłem szkoły muzycznej. Koledzy - mądrale, dziś na stanowiskach nie poznają mnie, rówieśnicy z podwórka nie znają mnie także. Ciociu, ja nawet nie mam takiego albumu, nie mam tego płomyka. Podrzędny dziennikarzyna z prowincjonalnej gazety.

* * *

- Tak, proszę pana, cóż może być ciekawego w życiu starej, prostej kobiety. Co było, minęło. Co będzie, wiadomo....

Zachód czerwonym światłem zalewa pokoik. I dwoje obcych sobie ludzi. I dobrze. Wszystko można złożyć na ten ostry blask, który każe spuścić oczy.

Tomasz Witkowski, Sopot

Praca uzyskała wyróżnienie w kategorii prozy w VI Pomorskim Konkursie Literackim dla Nauczycieli, organizowanym przez Wojewódzką Bibliotekę Pedagogiczną i Stowarzyszenie „Volumin" w Słupsku.

Fot. J. Maziejuk

Jan Kulasza - Wiersze

ZATRZYMAĆ TROCHĘ CIEPŁA NA ZIMĘ

Wiatr porozścielał słomę po polu.
Kombajnista zatrzymał kombajn
na środku pola.

Ociera pot z czoła.
Słonce grzeje niemiłosiernie.

Włóż trochę ciepła do
kieszeni, żebyś mógł ogrzać
swe serce zimą.
U nas zimy są jak
czosnek na bazarze,
co siedem lat jest drogi
zima nie wiadomo
jaka będzie.

JAK WYSTRASZONA SARNA

zapukałem do drzwi
cisza nikt nie otwiera
może tu już nikogo nie ma
podwórko zarosło trawą

przecież jeszcze wczoraj
byłem młody ładny ona też

ach jak ten czas szybko ucieka
niedawno z kolegą ryśkiem
wódkę piłem a już
dziesięć miesięcy w zaświatach

kilka lat temu jak pracowałem
znałem prawie wszystkich
mieszkańców
a już tylko niewielu poznaję

ten czas ucieka jak
wystraszona sarna

***

wybrałem się do lasu
spotkałem kozaka ale ten
stary był jeszcze za sułtana
siedzi kania - ale odfrunęła
siedzi król - ale to nie król
to generał szatański i ten prosi
żeby go zabrać jest smaczny
zdrowy taki jak inne grzyby

nie chcę z diabłem mieć nic
do czynienia ale czy to już
koniec - siedzi kurka ale co to
jedna kurka - lubię kurki

pójdę na targ kupie pieczarek
pójdę w zagajniki nazbieram
maślaków nasuszę i to musi
mi wystarczyć

MÓJ DOM

mój dom to
zwykła wiejska chałupa
pod strzechą obok studnia
z żurawiem
wody nie widać bo głęboko
obok kapliczka
kępa złotych słoneczników
kilka kurek i pies

ten obraz to prezent od
pani oli córki sąsiadki

jak przymknę oczy to widzę
ten nasz dom w tej lubelskiej wsi
- na jawie

Głaszczesz wydmy głębią spojrzenia

W piątek, 3 lipca w sali widowiskowej Gminnego Ośrodka Kultury w Główczycach odbyło się wyjątkowe spotkanie poświęcone promocji najnowszego tomiku poezji Emilii Jastrząbek-Zimnickiej. „Błękit nieba nade mną wyzłacany słońcem" - to już siódmy autorski zbiór wierszy autorki

Stosując się do przepisów sanitarnych, na spotkanie przybyło spore grono osób. Nie zabrakło przedstawicieli lokalnego samorządu oraz znajomych poetki. Część osób wzięła też udział w spotkaniu bez wychodzenia z domu, ponieważ Gminny Ośrodek Kultury po raz pierwszy prowadził na Facebook'u transmisję live z wydarzenia.

Spotkanie rozpoczęło się od wystąpień Arkadiusza Kwiatkowskigo - przewodniczącego Rady Gminy Główczyce i Joanny Lipczyńskiej - sekretarz Urzędu Gminy, którzy oficjalnie w imieniu władz samorządowych dziękowali poetce za jej literacką aktywność, nowy tomik wierszy i wręczyli kwiaty. Następnie Ada Guz - jedna z mieszkanek Główczyc przeczytała kilka wierszy z nowego tomiku. Później autorka osobiście prezentowała swoje nowe wiersze, a te starsze recytowała z pamięci. Oprócz wierszy zebrani mogli posłuchać fragmentów piosenek śpiewanych przez poetkę oraz wielu wspomnień, którymi pani Emilia dzieliła się ze swoimi czytelnikami.

W wydarzeniu wzięła udział wokalistka Katarzyna Palka i swoim pięknym śpiewem urozmaiciła spotkanie. Zrobił to też

Fot. fb.com/gokglowczyce

PROMOCJA

Zenon Marian Lasoń, Słupsk

Poświęcam Emilii Jastrząbek-Zimnickiej

EMILKA

Nad jeziorem Łebsko żyjesz sobie spokojnie
Głaszczesz wydmy głębią spojrzenia
Błękit nieba nad Tobą wyzłacany słońcem
Tu łowisz wersy siecią natchnienia

Fale jeziora nucą złote pieśni
Trzciny kłaniają się nisko
A Ty wierszami zarzucasz przynętę
Do serca rymy tulą się blisko

Rodzinne strony ciągle wspominasz
Bo takie masz „Ścieżki życia"
Wszyscy poeci idą wraz z Tobą
A także pola, ptaki, jezioro, Twoja Izbica
Idziesz z poezją jak z przyjacielem
Wśród łąk i kwiatów, których tam tysiące
Dziś Twoja książka mówi tak wiele
„Błękit nieba nade mną wyzłacany słońcem"

Zenon Marian Lasoń ze Słupska, poeta i muzyk, który prezentował swoje ballady. Na zakończenie pani Emilia podpisywała swój najnowszy tomik, po który ustawiła się długa kolejka miłośników jej pięknego słowa.

Spotkanie przebiegło w artystycznej atmosferze. Były momenty pełne humoru, ale też chwile skłaniające do refleksji. Dużo się działo, wszystko dobrze wypadło. Pochodząca z pobliskiej Izbicy poetka wzbudziła zainteresowanie swoją twórczością. Po raz kolejny udowodniła, że potrafi oddać piękno swojej małej ojczyzny: ukochanych łąk - boskiego dywanu złocistego, rzeki Łeby - płynącej wśród olszyn, lasów - szumiących wciąż pieśń starodawną. Bo wieś, w której mieszka i którą od lat opisuje, to mały kawałek jej ojczyzny, gdzie błękit nieba nad głową wyzłacany jest słońcem...

Tomik ukazał się dzięki przyznanemu autorce, na jego wydanie, stypendium kulturalnemu Starosty Słupskiego oraz finansowemu wsparciu Gminy Główczyce. Wszyscy, którzy nie mogli osobiście, albo nie mieli okazji uczestniczyć w spotkaniu zorganizowanym w GOK, mogą obejrzeć je na profilu na Facebook'u, gdzie dostępne jest nagranie całego wydarzenia. ***(gok,z)***

Fot. fb.com/gokglowczyce

„Worki myśli" G. Chwieduka

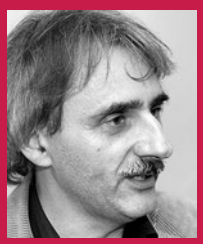

Wydawnictwo „KryWaj" Krystyny Wajdy z Koszalina wydało „Worki myśli" Grzegorza Chwieduka, poety z Kępic, laureata wielu nagród w konkursach poetyckich, z wykształcenia magistra filologii polskiej

„Każda chwila należy do kogoś. Sny czyste o tobie dały mi zdrowie. Cud spotkania także rzeczy i ludzi. Wstaje rano człowiek wydłużony, obrażony. Leżąca cisza krzyczy spokojem. Okno nie jest od tego, by z niego wyskakiwać" - takie m.in. są te zebrane w workach myśli Grzegorza Chwieduka. Zapełnił nimi dwadzieścia jeden worków i tyle złożyło się na książkę, które wydało mu koszalińskie wydawnictwo.

Prezentując (i recenzując tę książkę) Jan Stanisław Smalewski w nr 2 (101)/2020 Wsi Tworzącej, też poeta, kolega Grzegorza „po piórze", napisał m.in.: „Czytając kolejne „worki myśli" Grzegorza Chwieduka, cały czas zastanawiałem się: co będzie, gdy nasz świat zginie, a archeolodzy odnajdą tylko książkę Chwieduka? Jak odczytają na jej podstawie naszą cywilizację? Co o niej pomyślą? Jakim językiem się posługiwali ci, co... wyginęli? Co za pomocą słowa chcieli przyszłym pokoleniom przekazać?" I dalej: „Bardzo ciekawa to, sympatyczna, indywidualna literacka maniera Grzegorza Chwieduka. I nie radzę jej nikomu naśladować, bo nie każdy ma taką otwartą, szaloną głowę, by tak wymyślać, tworzyć. Nikt zresztą też nie jest w stanie - moim zdaniem - mu w tym dorównać."

Co i jak wymyśla, tworzy Grzegorz Chwieduk, czy w ogóle wymyśla, a nie na przykład tylko zapisuje lub kojarzy? Żeby się tego dowiedzieć najlepiej samemu przeczytać, jego książkę, a lektura to będzie - przyznam - przednia. Sam zastanawiam się do dziś, chociaż z tą jego „workową" twórczością zetknąłem już dużo wcześniej (drukowaliśmy niektóre „Worki myśli" G. Chwieduka we Wsi Tworzącej), skąd mu się tyle w głowie bierze? Podziwiam go za ten szczególny rodzaj twórczości.

Grzegorz Chwieduk, możemy dowiedzieć się m.in. z krótkiej informacji zamieszczonej na okładce książki, pracuje jako nauczyciel bibliotekarz w Zespole Szkół w Kępicach. To może tam jest źródło jego inspiracji twórczej? Warto dodać, że jest też autorem tomików „Pamiętam wiele" (2009), „Z pragnienia jesteśmy (2010), a także „Fraszki bez maski" (2000). Jego „Worki myśli" powstawały w latach 2017-2019. Ich fragment otrzymał m.in. II Nagrodę w Konkursie Literackim im. Haliny Snopkiewicz w Zawierciu w 2018 roku.

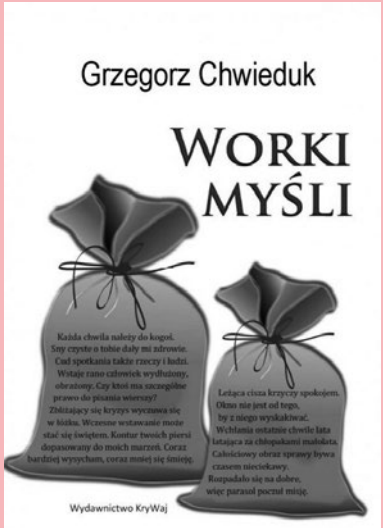

Z. Babiarz-Zych, Słupsk

Grzegorz Chwieduk: „Worki myśli", Wydawnictwo „KryWaj" Krystyna Wajda, Koszalin 2019, s. 92.

Wieś Tworząca - Dodatek Literacki do „Powiatu Słupskiego" Grupy „Wtorkowe Spotkania Literackie". **Redaguje:** Zbigniew Babiarz-Zych i zespół. **Zdjęcia:** Jan Maziejuk, Ryszard Nowakowski - SAS. **DTP:** Artur Wróblewski.
Adres redakcji: Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14, tel. 59 841 85 53, **www.powiat.slupsk.pl** • e-mail: zych@powiat.slupsk.pl • ***Redakcja nie podziela wszystkich opinii i poglądów autorów zamieszczanych tekstów.***